MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 59. WARSZAWA, 20 GRUDNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

SPÓR O CUKIER

LEŻY widocznie w naturze rzeczy słodkich, że koło nich namiętne wybuchają spory; poddaję się temu prawu i odpowiadam senatorowi Kiniorskiemu, którego adwersarzem staję się równie niechętnie, jak on moim, zwłaszcza po aż nazbyt pochlebnych słowach, jakiemi moje pisanie ocenić zechciał. Muszę jednak bronić swego, a może okaże się wkońcu, że zasadniczo tak bardzo się nie różnimy.

Najpierw cyfry. Wiem, że cena cukru wynosi 1.60 za kilo, ale jest to cena detaliczna, w której zawarta jest akcyza (38 gr.) i komisowe (7 gr.) t. zn. obciążenia, które przy zaopatrywaniu się w cukier zagraniczny również by istniały. Konsument wygrałby tylko różnicę między ceną hurtową 1.15 zł. krajową i 27 gr. zagraniczną, t. zn. 88 gr. na kilogramie. Szanowny mój Oponent twierdzi, że przy wycofaniu z rynku naszego cukru ceny podskoczą i nie będziemy w możności kupować go po 27 gr., co obali moją kalkulację. Otóż światowa produkcja cukru wynosi (liczby z r. 1929 wg. „Rocznika Stat.") 16.496 tys. tonn trzcinowego i 9.195 tys. tonn buraczanego, razem przeszło 25 miljonów tonn; nasza produkcja wynosi około 700 tys. tonn, czyli stanowi niespełna dwa i pół procent światowej. Gdyby wziąć dokładny stosunek między podażą i popytem, po zniknięciu naszego cukru z rynku cena powinnaby się podnieść o pół grosza na kilo, jednak wobec przewagi podaży nawet i ta podwyżka jest nieprawdopodobna. Nie mogę więc przyznać, że popełniłem „błąd zasadniczy". Spekulacja może czasem ceny sztucznie trzymać lub podbijać, ale to rychło kończy się źle. Dowodem krach cen na zboże. Wynikająca więc oszczędność około 320 miljonów rocznie przez konsumenta polskiego nie jest fantazją.

Przejdźmy teraz do korzyści, jakie osiąga z cukrownictwa rolnictwo. Wziąłem za przeciętną cenę buraków 3 zł. za cetn., Oponent mój podaje 4.50, a nawet 4.75 zł. Wiem, że cena kontyngentowa jest wyższa od 3 zł., ale wiem również, że sprzedaje się poza kontyngentem po 2 zł., po 1 zł., „za co się da". W Wielkopolsce ceny są znacznie gorsze, niż w Polsce centralnej, i znam wypadki, kiedy plantatorzy, dostarczający do jednej z największych cukrowni na Pomorzu, wyrywali sobie włosy z powodu znakomitego urodzaju buraków, osiągniętego dużemi nakładami, bo im nadwyżkę przyjęto za grosze. Może nawet na tem efektywnie nie stracili, ale nie wpłynęło to na utrzymanie ceny teoretycznej. Faktycznej ceny przeciętnej pewno nikt nie zna, gdyby jednak wypadła wyższa, niż przyjęta przezemnie, to chyba nie wiele. Może to podwyższyć nieco sumę *brutto* otrzymywaną przez rolników, ale zasadniczo sprawy nie zmieni.

Na teren kalkulacyj rolniczych zapuszczam się niechętnie, nietylko dlatego, że nie jestem rolnikiem, ale i dla pewnej chwiejności, wykazywanej przez samych rolników w ocenie rozmaitych stron ich gospodarki. Nieraz da się słyszeć narzekania, że i to nie płaci i tamto licha warte, a gdy się poradzi: „to zaniechaj tego, bracie, zdejm ciężar ze słabych barków" — okazuje się, że właściwie ta nic nie warta rzecz jest złotem jabłkiem. Coś podobnego zaszło i tutaj. Słyszeliśmy nie jedną skargę na owe nieszczęsne buraki, pamiętam nawet broszurę, napisaną przez kresowego ziemianina (hr. Krasickiego, o ile mnie pamięć nie myli) pod wymownym tytułem „Jego Żarłoczna Mość Burak", a tymczasem z liczb, przytoczonych przez senatora Kiniorskiego, wynikałoby, że z tego buraka nie cukier, ale sam miód płynie. Czytam tam bowiem, że „różnice pomiędzy hektarem obsianym żytem a zasadzonym burakami, przy cenach ostatnich dwóch lat i przy średnio dobrym urodzaju, wahają się od 600 do 800 zł. na hektarze. Innemi słowy, sama strata rolnictwa na skasowa-

niu 250 tys. hektarów plantacyj wyniesie od 150 do 200 milj. zł.“ Mimo niefachowości ośmielam się sądzić, że liczby te są zbyt optymistyczne. Najpierw nie zupełnie zgadzają się one z cyframi, podanemi w poprzednim ustępie, gdzie autor, korygując moje ceny buraków, pisze, że rolnictwo dostaje (za buraki) nie 130, ale zgórą 200 miljonów złotych”. Dokładnie, jak wynika z Jego ceny (po 4.50) — 202,5 milj. zł. Jeżeli tak jest, może się utrzymać tylko i to z trudem, przy katastrofalnej cenie żyta, dolna granica polepszenia wydajności hektara buraków (*brutto*) w porównaniu z hektarem żyta, t. zn. 600 zł., gdyż gdyby wziąć górną, okazałoby się, że za żyto z 250 tys. ha osiąga się tylko 2,5 milj. zł. czyli sprzedaje się plon żyta z 1 ha za 10 zł. Takich cen jeszcze, chwała Bogu, nie mamy. Pozatem nie jest dla mnie jasne, dlaczego mamy siać koniecznie żyto, przecież na buraczanych glebach uda się pewno też pszenica. Musimy też, oceniając jakąś zmianę, brać dane z dłuższego szeregu lat, nie tylko z katastrofalnych dla zbóż dwóch lat ostatnich. Gdybyśmy wzięli ceny chociażby za 6 lat ostatnich, tj. od czasu, kiedy są obliczane w stałej walucie, musielibyśmy brać pod uwagę ceny na pszenicę po 45,2 zł. (1929 r.) a nawet po 54,3 zł. (1927 r.) i przeciętny urodzaj buraków w całym kraju. Różnica wypadłaby wtedy nie tak pognębiająco dla poczciwej pszenicy, a nawet i żyto teżby coś zyskało, bo miało ceny po 43,7 zł. (1927 r.) P. senator Kiniorski pisze w swoim artykule, że konkurencja cukru trzcinowego kiedyś ustać musi; mam wrażenie, że przypuszczenie, iż dzisiejsze katastrofalne ceny na zboże podniosą się, ma raczej więcej prawdopodobieństwa za sobą i burak straci wówczas wiele ze swej napoleońskiej pychy, tembardziej, że uprawa jego do najtańszych nie należy, i rezultaty *netto* są oczywiście znacznie mniejsze.

Obawiam się, że ta cyfrowa dysertacja nie bardzo Czytelników zachwyci, ale trudno, musiałem się wykazać, że zbyt lekkomyślnie na drogi reform, które mają być zbawczemi, się nie puściłem. Widać z całego artykułu jednak, że Szanownemu memu Oponentowi też w gruncie rzeczy nie tyle chodzi o te cyfry, ile o samą ideę, o tę „piatiletkę“. Postanowiłem kwestję jaskrawo, a dla większego jeszcze tej jaskrawości podkreślenia użyłem, mimo wstrętu do zalewającego nas żargonu, nazwy „piatiletka“. Ta jaskrawość uwypukliła należycie fakt niesporny, że płacimy za cukier 320 milj. zł. więcej, niż potrzeba, i że da się pomyśleć rozwiązanie, przynoszące ulgę ludności i przelewające znaczne sumy na cele polepszenia warunków ogólnej gospodarki narodowej. Nie zamierzam wszczynać kampanji o urzeczywistnienie tego planu, myślę jednak, iż dobrze było zwrócić uwagę na jego możliwość.

Senator Kiniorski przedstawił mnie czytelnikom, jako pewnego rodzaju *monstrum*, potworka o dwóch obliczach: jedno zwraca się ku przestarzałemu liberalizmowi ekonomicznemu, drugie zaś ku rygorystycznemu etatyzmowi, gotowemu bodaj na użycie Brześcia, czy czerezwyczajki na opornych. Jest to złudzenie optyczne, wynikające z niedoceniania tego faktu, że często ilość zmienia jakość zjawiska. Nie jestem liberałem ekonomicznym i brałem udział w ruchu uprzemysłowienia, który dziwnym trafem wynikł właśnie z walki o egzystencję cukru przeworskiego wobec zakusów kartelu austrjackiego. Ale tam chodziło o groszowe różnice i korzyść była jasna, nie zaś, jak obecnie, o płacenie za własny wyrób przeszło czterokrotnie wyższej ceny, niż płaci zań zagranica. Ta ilościowa różnica wskazuje na nienormalny stan sprawy i na konieczność szukania innego wyjścia, tembardziej, że ciężary, których wielkości dorównywa u nas jeden tylko podatek przemysłowy, rozkładają się nierówno. Płaci bowiem przeważnie główny konsument, t. j. ludność miejska, a zarobki, kolejki podjazdowe i ulepszenie warsztatów, o których pisze p. Senator, a których ja bynajmniej nie ignoruję, ma ludność wiejska. Można powiedzieć, że to się w swoim czasie odbije korzystnie na zarobkach ludności miejskiej, ale któż zdoła obliczyć, czy te korzyści zrównoważą ciężary. Doceniam w pełni konieczność traktowania tych spraw z punktu widzenia całości ekonomiki narodowej, ale mam też na myśli kaleką urodę naszego społeczeństwa bez silnego mieszczaństwa i to zmusza też do ostrożności. Z drugiej strony nie jestem etatystą, i radbym zostawić inicjatywie prywatnej największe pole działania, ale skoro jakiś przemysł odwołuje się do opieki państwa i korzysta z narzuconych przez nie cen, to musi się też poddać daleko sięgającej kontroli.

Ważkie argumenty przemawiają za utrzymaniem krajowego cukrownictwa i pewne ofiary na ten cel ponieść niewątpliwie trzeba. Czy to jednak da się przeprowadzić na dłuższą metę, trudno przesądzać. W każdym razie stan dzisiejszy tolerowany być nie może, niema bowiem z niego drogi wyjścia. Przemysł, zabarykadowany w swoim zamku wysokich cen, nie robi wysiłków. Pamiętam czasy, kiedy robota chemika w cukrowni (pobierającego zresztą 30 rb. miesięcznie) polegała na wyuczeniu chłopaka w laboratorjum obchodzenia się z sacharometrem, a cenionem ulepszeniem technicznem było umieszczenie paru tęgich chłopów pod pomostem wagi: zawsze parę centnarów wozowi z burakami ubyło. Dziś zapewne jest inaczej, ale nie bardzo jakoś słychać o postępach techniki cukrownianej, przynajmniej nie odbija się to na cenie. Słychać o próbach skażania cukru na paszę. Nie wiem jak dalece się to uda, sprawa jest bowiem trudna, gdyż jak mówili moskale *„czełowiek nie św.... — wsio sjest”*.

Barykada gwarantowanych przez państwo cen jest istotnie bardzo wysoka. Cukrownictwo, według marszałka Trąmpczyńskiego, zwycięsko opiera się wszelkiego rodzaju ankietom. No, nie muszą te ankiety być bardzo dociekliwe... W senacie podano koszt własny cukru naszego na 50 — 60 gr. Ponieważ sprzedaliśmy połowę zagranicę po 27 groszy, a połowę w kraju po 1.15 zł. więc przeciętna cena wypadła 71 gr., czyli przeciętny zysk 16 gr., a na 700 tys. tonn 112 milj. zł. Ładny grosz, wystarczający na oprocentowanie pięknego kapitału i to w czasie, kiedy wszystkie przemysły leżą. Bilanse cukrowni oczywiście nic nie mówią, ale mimo to ich lektura jest dość interesująca: oto mała cukrownia podnosi o 30% swój kapitał zakładowy z bieżących zysków; obok cukrownia średniej wielkości wzywa akcjonarjuszów do podnoszenia „superdywidendy”, a dalej wielka, z kapitałem około 15 miljonów, wypłaca tylko 2% dywidendy. Jak ci biedacy mogli przy tak lichych zyskach zebrać kapitał zapasowy i rezerwy, dorównywające prawie kapitałowi zakładowemu, to tajemnica kunsztów buchalteryjnych. Oby tylko tych kunsztów nie przecięła istotnie jakaś „piatiletka”, bezwzględniejsza, niż moja.

Myślę, że nie będzie z mojej strony nieskromnością, jeżeli przyznam sobie obok senatora Kiniorskieg pewien udział w wyjaśnieniu sprawy cukrowej Czytelnikom i na tem skończę. Jeszcze tylko jedna drobnostka. Szanowny mój Oponent dwa razy przytacza moje powiedzenie, że rolnicy wezmą proponowane odszkodowanie „z pocałowaniem ręki". Przyznaje się, że tę szpilkę wetknąłem umyślnie. Znam poglądy senaatora Kiniorskiego i jestem pewien, że zgodzi się ze mną, jeżeli powiem, że liczni ziemianie w ostatnich czasach zbytnio „z ręki jedzą", co bynajmniej nie przyczynia się do podniesienia ich w opinji ogółu.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

PRÓBY NAWIĄZANIA DO UNICKIEJ TRADYCJI

W LIPCU tego roku ukazał się pierwszy zeszyt czasopisma „Unja" (adres red. i adm.: Kraków, ul. Krowoderska l. 36). Pismo poświęcone jest sprawie kresów wschodnich i unji, ukazując się jako organ „Towarzystwa Przyjaciół Kresów Wschodnich i Unji". Ostatnio wyszedł dalszy podwójny (2 i 3) numer „Unji." Przypatrzmy się pokrótce treści niektórych artykułów czasopisma.

Numer pierwszy rozpoczyna artykuł p. dr. W. Kossa „Nawiążmy do tradycji". Autor nie wierzy, aby spolszczenia kresów mogła dokonać kolonizacja i parcelacja pomiędzy polskich chłopów majątków ziemskich. Dokona zaś tego nawrót, wskrzeszenie wśród ludności naszej na kresach dawnej, polskiej Unji, z polskim charakterem, takiej, jaką nam zabrała carska Rosja. Ją przyjmie ludność chętnie i na nią czeka, łacińskiego obrządku nie chce, zaś dzisiejsza akcja katolicka, „odpolszczona" i odpolszczająca nasze własne ziemie, prowadzi wprost do ukrainizmu i zmoskwiczenia, te zaś dwa kierunki polityczne prowadzą także do prawosławia. Artykuł jest zatem programowym, jest wyznaniem wiary i uzasadnieniem tego wyznania. W następnym artykule „Dwie rocznice — jako pomnik, polski modlitewnik" tenże autor wzywa do poparcia wydawnictwo modlitewnika polskiego, dla Polaków grecko-katolików. Modlitewnik ułożył ks. Welinowicz z Podlasia. Modlitewnik ma być pomnikiem rocznicy najazdu i podboju przez kniazia Włodzimierza Grodów Czerwieńskich w r. 981 oraz rocznicy śmierci ś. p. K. Weydlicha, propagatora idei nawrotu do unji. Niezmiernie przerażających informacyj dostarcza artykuł „Już atakują Mazurów". Autor, ukryty pod pseudonimem „Krośniak", zdaje sprawę z postępującej ukrainizacji, przez kler grecko-katolicki, polskiej ludności unickiej w województwie krakowskiem. Proces ten odbywa się w naszych oczach. Jeszcze do roku 1908 w kazaniach używano języka polskiego a w kościołach unickich były organy. Powoli jednakże wychowankowie grecko-katolickiego seminarjum ruszczą kościoły i rutenizują ludność. Fala ta dochodzi pod Rzeszów i Nowy Sącz. Autor kończy tak swój ze wszech miar cenny artykuł:

„Dziwnem jest zupełne zostawienie greckokatolickich Mazurów przez polskie społeczeństwo. Gdy tacy np. Węgrzy w latach rozpoczęcia ataku ukraińskiego na Mazurów zajęli się bardzo energicznie kilkudziesięciu tysiącami Madziarów gr. kat. w Alföldzie (krainą nad Cisą), doprowadzając nawet w r. 1912 do założenia czysto węgierskiego biskupstwa gr. kat. w Haidu-Dorogu, co w traktacie w Trianon uratowało im tę okolicę (obecnie wysunięty klin), to my wogóle zaniedbaliśmy naszych nieszczęsnych rodaków gr. kat. obrządku, doprowadzając do tak smutnych dla nas wyników, jak hajdamaczyzny w województwie krakowskiem!"

W artykule „Jak uratować polski charakter Lwowa" W. K. nawołuje do oddzielenia gr. katolików Polaków od Ukraińców, do przydzielenia Polakom kilku cerkwi na polskie nabożeństwa i kazania. Chce autor dalej udostępnić polskiej młodzieży gr. katolickiej naukę religji w języku ojczystym oraz udostępnić Polakom duchowne seminarja grecko-katolickie w Przemyślu i Lwowie. To są najbardziej interesujące artykuły i głosy pierwszego, inauguracyjnego numeru. Następny numer jest mniejszy i słabszy. Z ciekawszych artykułów wymienić należy początek wspomnień podlaskiego unity prof. Mikołaja Mazanowskiego, zatytułowanych „Ze wspomnień podlaskich". Przy końcu numeru opublikowano sprawozdanie z Walnego Zgromadzenia Towarzystwa Przyjaciół Unji, przemianowanego na tem zebraniu na „Towarzystwo Przyjaciół Kresów Wschodnich i Unji". Działalność towarzystwa na razie nikła. Na skutek jednakże pozyskania szeregu nowych, wartościowych członków do pracy, spodziewana jest zmiana na lepsze. Wybrano nowy zarząd w następującym składzie: Prof. Mikołaj Mazanowski — prezes, prof. U. J. Ignacy Chrzanowski — wiceprezes, dr. Władysław Koss — sekretarz, Longin Koszyński — skarbnik, oraz prof. Ak. Sztuk Pięknych Jan Wojnarski, Prof. Jan Friedberg, ks. prof. Czesław Łukasik, i naczelny redaktor „Unji" St. Pisula — członkowie zarządu.

Tyle na razie, jeśli idzie o stronę informacyjną. Akcja „Unji" jest jednym z przejawów tego ożywienia terenie zagadnień kresowych, o którem wspominałem, pisząc o Podolu. Problemem, postawionym przez „Unję", będzie się musiała oczywiście zająć szersza polska opinja społeczna. Zagadnienia te, ich celowość oraz możliwości ich zrealizowania należałoby bardzo poważnie, rzeczowo i wszechstronnie przeduskutować. Trzeba bowiem pamiętać, że współczesna sytuacja, zarówno polityczna jak też religijna, na tak zwanych kresach wschodnich, jest zasadniczo różna i bardziej skomplikowana, aniżeli sytuacja, poprzedzająca unję religijną, w Brześciu zawartą. Z różnicy tej trzeba sobie dokładnie zdawać sprawę, kiedy się dyskutuje sprawę unji. Wystarczy dla zademonstrowania tych różnic zwrócić uwagę na to, jak poważnie został nadwątlony prawosławny kościół rosyjski, co w konsekwencji na razie odbija się na polskości dość ujemnie, dyktując niektórym sferom kościoła katolickiego rusyfikowanie akcji misyjno-unijnej na terenie Polski, aby w ten sposób stworzyć ośrodki przyciągania dla Rosjan. Czy jednakże rosyjskie transformacje religij skończą się na osłabieniu prawosławia? Przecie propaganda bezbożnictwa ma wszelkie cechy likwidowania starej religji na rzecz czegoś nowego. Nie przypuszczam, aby tem nowem w zamiarach dzisiejszych władców Rosji miał być katolicyzm. W razie zaś jakichś inowacyj religij-

nych za naszą wschodnią granicą, zmieniłaby się przecie sytuacja na kresach dość poważnie.

A trzeba także zwrócić uwagę na to, że w zasadzie interesu politycznego na unji, jako naród, nie zrobiliśmy. Unja, jak dotychczas, przyniosła nam w ogólnym rachunku raczej szkody polityczne. Oczywiście, niesprawiedliwemby było przysłanianie pięknych kart męczeństwa unitów z Podlasia i Chełmszczyzny. Niemniej jednakże potrafili Moskale unję zlikwidować, rusyfikując zarazem poważnie żywioł unicko-polski. O wiele gorszy bodaj obrót wzięły sprawy unijne na południowowschodnich kresach, gdzie kościół grecko-katolicki stał się narodowym kościołem organizującego się nacjonalizmu ukraińskiego, stał się kapitalnem narzędziem rutenizacyjnem, dającem Ukraińcom przewyborne możliwości konsolidacyjne. Grecko-katolicki kościół, potęgując tak, jak każdy kościół narodowy, możliwości politycznej konsolidacji Ukaińców, daje im równoczeście oparcie o powszechny kościół katolicki, czego nie mają inne kościoły narodowe. Wobec takiego stanu rzeczy, realnie możnaby myśleć o propagowaniu unji w starem tego słowa rozumieniu dopiero wtedy, gdyby kościół grecko-katolicki przestał być, tak jak to ma miejsce obecnie, narodowym kościołem ukraińskim. I to jest właśnie kamień probierczy akcji „Unji". Jeżeli mianowicie ludzie, zgrupowani około „Unji", zdołają znaleźć oddźwięk wśród grecko - katolików, oddźwięk bodaj na pewnych terytorjach masowy i ludowy, to nie ulega wątpliwości, że ich apostolski zapał zdobędzie możliwości realizacji. W przeciwnym razie nie należy tworzyć fikcyj i złudzeń, gdyż one będą szkodliwe zarówno dla polskości jak też i katolicyzmu w Polsce. Jednem zdaniem: sprawa, jakkolwiek bardzo trudna, a może nawet i niebezpieczna, jest ważna i trzeba ją poważnie przemyśleć.

KAROL STOJANOWSKI

„LITERATURA POLSKA" KORBUTA

KIEDY przed kilku laty (1918 — 1921) ukazało się pierwsze wydanie „Literatury Polskiej" Korbuta, fachowcy (Gubrynowicz, Kridl, Ptaszycki, Pigoń i inni) ocenili ją naogół nie tylko z wielkiem uznaniem, ale i z wielką radością: powitali w niej dawno pożądany podręcznik „dla studjujących naukowo dzieje rozwoju piśmiennictwa polskiego", to znaczy podręcznik, jaki historycy, dzięki Ludwikowi Finklowi, posiedli już dawno, a jakiego historycy literatury tak długo nie mieli.

Wprawdzie, kiedy tytuł dzieła Finkla brzmi „Bibljografja historji polskiej", Korbut zatytułował swoje dzieło: „Literatura polska", a to ze względu, że bibljografja nie wypełnia całkowicie jego treści, że, oprócz niej — oprócz spisu dzieł autorów i studjów nad niemi — są jeszcze charakterystyki poszczególnych epok piśmiennictwa polskiego oraz biografje autorów. Z tem wszystkiem historją literatury polskiej dzieła Korbuta nazwać nie można; byłoby to nawet sprzeczne z zamiarami autora, który na samym początku swego dzieła, wyjaśniając „plan, treść i cel tej książki", wyraźnie pisze: „Przystępując do ułożenia mojej Literatury, nie miałem zamiaru układania ani słownika biograficznego pisarzy polskich, ani bibljografji historji literatury polskiej, ani też pisania dziejów tej literatury".

Więc cóż było zamiarem autora? Niech raz on sam na to odpowie: „Miałem na myśli przedewszystkiem tych młodych pracowników w dziedzinie literatury polskiej, którzy, zabierając się do pracy nad jakimś pisarzem lub utworem, szukają źródeł lub wogóle przystępują do studjów systematycznych nad literaturą polską" [1]). I tego celu autor dopiął w zupełności: dał nie tylko młodym, ale i starszym pracownikom w dziedzinie historji literatury polskiej książkę, bez której — ci przynajmniej, co nie sporządzili sobie własnej bibljografji (a czy wielu jest takich i czy wielu może być takich?) — ruszyć się w swojej pracy nie będą mogli, książkę, która dla nich jest i będzie nieocenionym skarbem, jako niezbędny już nie tylko dla studjów naukowych, ale nawet dla ogólnej orjentacji w dziejach literatury polskiej i w jej opracowaniach naukowych, podręcznik bibljograficzny. Bo lwią, niemal wyłączną część książki wypełnia — mimo tytułu „Literatura Polska" — bibljografja dzieł autorów i ich opracowań.

I dlatego właśnie, że „studjujący naukowo dzieje rozwoju piśmiennictwa polskiego" mają już nakoniec, dzięki Korbutowi, „książkę podręczną informacyjną", powitano ją z taką radością i z takiem uznaniem, jako w swoim rodzaju dzieło pomnikowe, które niewątpliwie już wpłynęło i będzie nadal wpływało na rozwój nauki historji literatury polskiej.

Nie dosyć na tem: kiedy się zważy, że dzieło to stworzył, że te tysiące dat i pozycyj bibljograficznych zebrał i ułożył jeden człowiek — bez pomocy współpracowników, to naprawdę trudno nie podziwiać ogromu mrówczej pracy, żelaznej wytrwałości i rozległej wiedzy tego cichego, a wręcz fanatycznie rozmiłowanego w swojej specjalności pracownika.

Znalazł się wszakże — po ukazaniu się pierwszego wydania „Literatury Polskiej" — historyk literatury, i to zdolny i także rozmiłowany w bibljografji, który dzieło Korbuta odsądził od czci i wiary: dr. Stanisław Lam. A świeżo, po wyjściu wydania drugiego, także odsądził je od czci i wiary dr. Wiktor Zakrzewski, który w redagowanym przez dr. Stanisława Lama, a wydawanym przez firmę księgarską „Trzaska, Evert i Michalski" „Przeglądzie Literackim", zakwestjonował nawet „celowość wydania Literatury Polskiej w tej formie, zwłaszcza, że użyto na to funduszów publicznych".

Nawiasem niechaj wolno będzie zaryzykować przypuszczenie, że dr. Stanisław Lam i dr. Wiktor Zakrzewski, to nie dwie osoby, tylko jedna. Ale mniejsza o to.

O wiele ważniejszą jest rzeczą wiedzieć, na jakiej podstawie wydano o książce Korbuta sąd tak już nie tylko surowy, ale wręcz druzgocący (rozumie się, że w oczach tych jedynie, którzy się na rzeczy nie znają).

Podstawą tą jest długa litanja zarzutów, dotyczących po części układu i metody, po części zaś

---

[1]) Gabrjel Korbut. „Literatura Polska od początków do wojny światowej". Książka podręczna informacyjna dla studjujących naukowo dzieje rozwoju piśmiennictwa polskiego. Tomów cztery. Warszawa. Skład główny w Kasie im. Mianowskiego. 1929 — 1931.

samego materjału bibljograficznego: wykazano mianowicie szereg bądź opuszczeń, bądź niedokładności w datach i w tytułach dzieł.

Co do układu i metody, możnaby się spierać, kto ma słuszność: czy Korbut, czy jego krytyk; zresztą w dziele, mającem nadewszystko charakter informacyjny, pouczającem badaczów i młodych adeptów nauki, co kto pisał i co o kim dotychczas pisano, czyją twórczość i jakie pisma należałoby — wobec ubóstwa dotychczasowych opracowań — zbadać i t. d. — w tego rodzaju dziele sprawa układu i metody nie odgrywa roli naczelnej.

Co do zarzutów szczegółowych, są one naogół słuszne, nie brak bowiem w dziele Korbuta ani omyłek w datach i tytułach, ani opuszczeń.

Są także rzeczy niepotrzebne, co się tłumaczy tem, że autor nadto szeroko ujmuje pojęcie literatury, zaliczając do niej np. dzieła czysto naukowe, bardzo nawet specjalne, bez względu na to, czy ich styl jest taki, że historja literatury ma prawo i obowiązek uznać je za swoje. Andrzej Gawroński np. był jednym z najznakomitszych lingwistów, jakimi się szczyci nauka polska, Jan Ptaśnik ma także zapewnione stanowisko w jej historji, ale czy dzieła tych uczonych należą do literatury? Albo jeszcze: co ma do roboty w „Literaturze Polskiej" Stanisław Posner? Czyż jego pisma publicystyczne mają aż tak wielkie zalety literackie, żeby je zaliczyć do literatury? A jeżeli się go już uwzględniło, to czy nie należałoby po imieniu Stanisław dodać w nawiasie: *recte* Salomon? Przecie Korbut ma umysł zbyt naukowy, żeby odrzucić, jak to się teraz często zdarza, ten niezbity pogląd Taine'a, że na twórczość wywiera wpływ nie tylko chwila dziejowa i otoczenie, ale i rasa! Jeżeli krótką biografję Ludwika Dębickiego zaczyna Korbut od wyrazu hrabia (otoczenie!), to dlaczego zapomina o rasie, pisząc o Posnerze, czy o Perlu? Czyżby sądził, że ta wiadomość ubliżyłaby ich pamięci? Chyba nie, skoro nie tai, że Klaczko był „z rodziców Żydów" (mówiąc nawiasem, podobno tylko matka Klaczki była Żydówką, ojcem zaś był podobno osławiony Pelikan, jak to opowiadał biskup Adam Krasiński jednemu z żyjących do dziś dnia profesorów Uniewersytetu Jagiellońskiego).

Tu warto wtrącić, że zwłaszcza dzisiaj, kiedy napływ Żydów do piśmiennictwa polskiego jest tak wielki, historykowi literatury, choćby tylko w imię nauki, nie wolno zamilczać ich rasy, a nawet wolno mu wyodrębniać „pisarzów żydowskich, posługujących się językiem polskim", z pośród pisarzów polskich.

Z opuszczeń zaznaczamy przy sposobności jedno. Wymienia Korbut sześć wierszy Karpińskiego, których nie wcielono do zbiorowych wydań jego poezyj. Otóż jest ich więcej. Jeden przytacza Gabrjela Puzynina w ogłoszonych niedawno pamiętnikach („W Wilnie i w dworach litewskich", 1928). A Stanisław Wodzicki w swoich „Wspomnieniach z przeszłości" cytuje taki wierszyk — na oficjalistki austrjackie w Galicji:

Sama jejmość pełna sadła,
Jakby naraz wołu zjadła,
Może ważyć trzy centnary,
Prócz ogromnych cyców pary.

Tradycja (zapisana kiedyś w jakimś kalendarzu) opowiada, jak to się stary Karpiński odciął jakiemuś młodemu poecie, kiedy go ten zagabnął o improwizację:

Z pomiędzy drzew
Wyleciał cietrzew;
Szukał bałwana:
Siadł na waćpana.

Lecz choćby nawet Zoile niewiedzieć jak pomnożyli wykaz opuszczeń i niedokładności w dziele Korbuta, to nie mówiąc już o tem, że bezwzględna dokładność bibljograficzna w dziele tak szerokiego zakresu przekracza możliwość uwagi i wogóle sił jednego człowieka, czyż krytyki naukowej nie obowiązuje ta sama zasada, którą w odniesieniu do krytyki utworów poezji ujął Horacy w te mądre słowa:

Verum ubi plura nitent in carmine, non ego paucis
Offendar maculis, quas aut iniuria fudit,
Aut humana parum cavit natura?...

Czyli po polsku — w przekładzie Jana Czubka:

Gdy całość jest udatna, cóż znaczy plam małość,
Które tu owdzie w dziele posieje niedbałość,
Albo ludzka ułomność?

Każdy dodatek, każde uzupełnienie książki Korbuta trzeba powitać ze szczerą radością, byleby tylko ten, kto je podaje, nie wyprowadzał wniosku, że to dzieło (raz jeszcze) pomnikowe, jest pozbawione wartości. Zaprotestują przeciwko temu dojrzali zarówno, jak początkujący historycy i miłośnicy literatury ojczystej i będą żywili dla niestrudzonego autora „Literatury Polskiej", która jest owocem ogromnej pracy i serdecznych umiłowań całego niemal życia, nie tylko wdzięczność, ale podziw.

IGNACY CHRZANOWSKI

FILOZOFICZNO-PSYCHOLOGICZNA TRAGEDJA JUGOSŁOWIAŃSKA

(Dokończenie)

W LOVRICOWYM „Synie" szczególną rolę gra miłość syna do matki i z tego powodu syn nie śmie uczynić nic takiego, czemby spowodował ból matce. Owe dwa wielkie przymioty Jugosłowianina są w „Synie" tak przedstawione, że nieznający jugosłowiańskiej bohaterskiej psychologji nie wie, który z nich zwycięża. Matce idzie o to, by nie stracić swego jedynego syna, a synowi, by swą śmiercią nie zadać matce bólu. Syn wie, że swoją śmiercią spowoduje cierpienie matki, lecz gdy nie umrze, to w ten sposób pogwałcona byłaby jednak prawda Boża. I ból matki ustąpić musi przed sprawiedliwością Bożą, bo w żaden sposób, nawet za cenę życia jednego człowieka, choć nawet junaka, sprawiedliwość nie może być pogwałcona. I matka, pomimo swej miłości do syna, pojmuje, że musi się poddać prawdzie, a nie swojej macierzyńskiej miłości. W swojem

macierzyńskiem uczuciu przedsiębierze wszystko, by ratować syna od śmierci, bo jest matką, a nie wilczycą, jak mówi do synowej, a pragnie, by i pobratym pozostał przy życiu. Pragnie rzeczy niemożliwej. Nie może bowiem zostać przy życiu syn, prawdziwy winowajca względem wroga, kiedy sam zeznał, że zabił wodza, wbrew poprzedniemu zeznaniu pobratyma, który, biorąc winę na siebie, chciał go uratować. Matka widzi, że nawet, gdyby to było możliwem, zamiast jej syna zginąć musiał pobratym, niewinny i w jej sercu toczy się walka pomiędzy umiłowaniem syna, a umiłowaniem prawdy. Z rozmowy syna z Matką widać jasno, że i w Matce, przedstawicielce miłości, zwycięża pojęcie prawdy.

Syn mówi do Matki: „Gwoli prawdy wyrzekł się (ojciec) mnie".

Tak: U Jugosłowianina pojęcie prawdy jest tak zakorzenione, że przedsiębierze wszystko, by nie została pogwałcona.

Miłość Ojca i Matki dla Syna jest wielką i oboje pragną uratować jedynego syna od śmierci. Wielki jest ich ból z powodu straty jedynego syna, ale jeszcze większa radość, bo dali życie junakowi, który się poświęca.

Andzielja, żona syna, widząc, że teściowa śle męża, aby się zgłosił jako zabójca i zginął za syna, mówi jej, że sprzedała męża, lecz poczuwszy w swych wnętrznościach ból, odczuwa zaraz wielkość matki i mówi do teściowej:

„Przebaczone ci jest, bo miłość twoja, bo cierpienie twoje przeogromne. Zabójczynią jesteś, lecz i męczennicą".

„Tobie Bóg przebaczył, a mnie na próbę wystawia".

Uczuwszy dopiero ból we wnętrznościach, pojęła synowa, że i ona jest matką i dlatego staje się dla niej zrozumiałem, dlaczego teściowa wysyła męża na śmierć, aby uratować syna. „Matką jest bowiem, a nie wilczycą".

Wielką jest boleść człowieka, gdy cierpi niewinnie, jeszcze większa, gdy żyje pohańbiony i nędzny, a lud jugosłowiański powiada:

„Lepiej umrzeć, niż cierpieć niewinnie", „lepiej umrzeć, niż żyć w hańbie", „lepiej umrzeć, niż żyć, jak nędznik". Groza przejmuje Syna na myśl, że zamiast niego ma zginąć Pobratym. We wszystkich tych wypadkach śmierć jest jedynem wyjściem z tych stanów duchowych Jugosłowiana, który nie może przeboleć i przeżyć niewinnej śmierci Pobratyma, miłości swej żony do niego i hańby, jaka go z tej przyczyny gnębi; dlatego chce i szuka śmierci, bo w niej widzi swoje zbawienie, rozgrzeszenie swojej duszy i swoje odrodzenie.

Syn, pojąwszy tak swoje „ja", zgłasza się do dobrego Wodza i żąda, by został stracony, co się też i stało, aby prawdzie zadość było uczynione, a przez to junacki Pobratym został ocalony.

Przez miłość Matki wraca Syn do niej po śmierci w postaci Ślepca-filozofa, aby pocieszyć ją i wyjaśnić jej zagadki życia. I tutaj dla Zachodu niejasny jest sens jugosłowiańskiego pojmowania ziemskiego życia, bo nie jest on w stanie zrozumieć, jak może ślepiec przynosić przejrzenie i jak z jego mocy może się rodzić słońce—słońce miłości. Porównując Ślepca z niebem, słusznie powiada Matka.

„Ślepy jesteś, a zdrowych pocieszeniem darzysz. Och, jakiem pustem i strasznem byłoby niebo, gdyby gwiazd nie było — a tyś słaby człowiek i bez wzroku".

Tak. Tak jest. Jakże pustem, strasznem i mrocznem byłoby niebo i z niem wszechświat, gdyby na niem nie było gwiazd, których widok unosi nas na wyżyny, a jakżeż znowu okropnie wyglądałby ślepiec, gdyby zdrowych nie darzył pocieszeniem.

Czyż syn mógłby się stać głosicielem powszechnej miłości i poświęcenia, które go też skłoniło, że oddał swe życie w ofierze, gdyby nie wielka miłość ojczyzny, prawdy, uciemiężonych, czci, honoru, ludzkości, rodziny i rodzinnego życia i jako taki poświęcić się i w śmierci znaleźć swe zbawienie i swe odrodzenie? Dlatego też powiada:

„Śmierci niema, bo i śmierć jest życiem. Kiedy kwiat przekwita, rozsypuje siemię, by zapłodnić życie nowe. Śmierć jest odpoczynkiem, cichym snem po dniach burzy, jakie niesie z codziennością walka. Cóż człekby począł bez pokrzepienia snem, co wymęczone ciało bez ciszy zamkniętego grobu? Największe szczęście dla Matki, gdy na łonie dziecię jej zaśnie".

Według pojęć jugosłowiańskich rodzice są istotami wyższemi, szczególnie Matka, która przebacza, rozgrzesza, a pocałunek jej jest symbolem związku ziemskości z nadziemskością — wyrazem pojednania i podniesienia, co wynika ze słów Syna:

„Szczęśliw jestem, Matko. Twój pocałunek mnie rozgrzeszył. Przebacz ojcu, aby moja dusza spokoju zaznała".

I w grobie dusza Jugosłowianina niema spokoju, gdy go coś gnębi. Gnębiły Syna dwie rzeczy: że odszedł do wieczności bez pocałunku Matki i że ona nie przebaczyła Ojcu, który gwoli prawdy wyrzekł się Syna. Ponieważ Syn jako ślepiec osiągnął to, co go w grobie gnębiło, odchodzi z powrotem do grobu szczęśliwy i odrodzony.

I w czasie przygotowania pogrzebu Syna, najsmutniejszego momentu, ból rodziców rozjaśnia radość, że Syn ich dla dobra ogólnego poświęcił swe życie, co pięknie wypowiedziane jest w następujących słowach, w których wyrażone są jednocześnie smutek, i radość i pojmowanie śmierci:

„OJCIEC: A teraz — o, radości, pełna grozy. Śmierć jego wioskę ocaliła. Jak pączek z gałęzi złamanej wyszło wnuczę nasze. A i grób jego pocieszeniem jest, Matko. Żywopłotem, jak koroną zieloną, uwieńczymy jego grób, niech zapach kwiatów przypomina nam znikome jego ciało. Ileż radości nawet w śmierci.

MATKA: Wielki jest nasz smutek.

OJCIEC: A radość jeszcze większa, bo śmierć zbliżyła żywych".

Wraz z Pobratymem grzebią rodzice swego zmarłego Syna, przyczem ojciec mówi:

„A ty, Matko, płótnem białem męczeńskie nakryj mu lica. Weźmij i ziarna garść jaką, by skrzydlate stado chętnie na grób zleciało, aby nie był sam.

MATKA: Aby go obce nie skrzywdziły ręce, Matka na łono go przyjmie, jak niegdyś na pościel miękką".

Widzimy tu, jak junacka matka pogodziła się z losem, który jedynaka jej przeznaczył na samoofiarowanie.

Z następujących zaś słów Ojca widać filozoficzne zapatrywania Jugosłowianina, uczucie i miłość jego do ziemi, na której odgrywa się jugosłowiańskie poświęcenie:

„Dobra jest ziemia, co go przyjmuje w czarne swoje łono. Dobra jest, bo gdy i zbrodniarz o skrwawionych rękach rzuci w bróżdę ziarno, ona pełnym oddaje mu kłosem. Nie pyta ziemia, czyja ręka zapłodniła: winnego, czy sprawiedliwego. Ona zawsze oddaje plonem. Więc i my, jej dzieci, jednako przyjmujmy dobro i zło, któremi wciąż nas darzy. Ona nam zimnych grobów strzeże, lecz i żywych nas chlebem karmi. Błogosławiona niechaj będzie ziemia, karmicielka nasza, dla żywych jest radością, dla zmarłych pokojem upragnionym".

Narodziny syna w czasie, gdy ojciec jego ginie na placu stracenia, poświęcając się dla dobra ogólnego, są symbolem i rzeczywistością Jugosłowiańszczyzny, która mogła się utrzymać, utrzymała się i utrzyma jedynie przelewaniem swojej czerwonej i drogiej krwi męczeńskiej, którą okupuje się żywot ziemski i niebieski. Życie synowego potomka, to jest narodziny jego syna, członka wzniosłego i wielkiego pokolenia, uwarunkowane jest śmiercią junackiego, samoofiarnego ojca. Płodzić potomstwo śmie tylko zdolny do poświęcenia człowiek, aby nastała epoka wielkiego i wzniosłego pokolenia.

Gwoli prawdy ojciec i matka ślą na śmierć jedynego syna, bo w takiej śmierci jest odrodzenie, odkupienie, zbawienie.

I żona, która kocha swoje, jeszcze nienarodzone dziecię, śle na śmieć męża nie dlatego, że kocha pobrytyma, lecz dlatego, że tego wymaga tkwiące w niej poczucie prawdy, bo dla tej prawdy nie chce, by oddech jej dziecięcia okupiony był niewinną krwią pobratyma.

Niechaj ta krytyka Lovricowego dzieła, które jest wyrazem Jugosłowiańszczyzny, służy narodowi polskiemu ku poznaniu jego jugosłowiańskiego brata, który pragnie i dąży, by się brat z nim zapoznał w tym celu, aby wspólnemi siłami dopełnili się i tak dokonali wielkich czynów, bez których dokonania nie może istnieć ani Jugosławja, ani Polska, ani wszystkie słowiańskie ludy, jako części Słowiańszczyzny. Los chciał, że Zachód, jak to śpiewa wielki nasz poeta Petrovic-Njegosz, czarnogórski książę władca, i historja dowodzi, utrzymał się jugosłowiańską krwią. Gdyby nie ta junacka słowiańska krew, nie byłoby może dzisiaj wolnych zachodnich państw romańskich, które niezawsze odpłacały Jugosłowiańszczyźnie wdzięcznością.

Naród jugosłowiański przeżył nadludzkie męki, cierpienia i boleści. Ponieważ w swojej wielkiej Kalwarji przeżył męki, cierpienia i boleści Chrystusa i jego Kalwarji, dlatego widzi w Chrystusie szczyt bólu, cierpienia, męki i miłości.

„Krzyż ów sławny, nigdy niezwyciężony,
„Na szczycie Łowcena, co się w niebo wznosi"

(słowa Mażuranica, wielkiego poety jugosłowiańskiego, odnoszące się do Njegoszowej Czarnej Góry), jest jugosłowiańskim symbolem chrystjanizmu, wzniesionym przez jugosłowiańskie bohaterstwo, jest *spiritus rector* i *spiritus movens* Jugosłowiańszczyzny.

We krwi i śmierci rodziło się od pradawnych czasów nasze życie, aby zakończyć słowami Njegosza — wszystko tak musiało być „gwoli przyszłego, wzniosłego i wielkiego pokolenia".

Polacy! Poznajcie nas, jak poznał nas wielki Polak, Mickiewicz, poznajcie nasze pragnienia i cele nasze, by nastała epoka „wzniosłego i wielkiego pokolenia", w którem ucieleśni się boska Słowiańszczyzna.

Przychodzimy do was, abyście nas pojęli i przyjęli, byście na nas nie rzucili kamienia, bo poeci są jak prorocy, jak śpiewa czeski poeta Kalek. A kto na nich kamieniem rzuca — do tych więcej nie wracają.

NIKOLA VLATKOWICZ

PODPATRZONE I PODSŁUCHANE

Fragment z powieści p. t. „Czarna Hańcza", która w tych dniach ukazała się nakładem Księgarni Św. Wojciecha w Poznaniu, z pięknemi ilustracjami fotograficznemi J. Bułhaka:

...W CHACIE było nieco duszno i gwarnie. Właścicielka domostwa, wdowa samotna jak palec, sprowadzała sobie wieczorami legjon sąsiadek na pogawędkę, a jedną z nich, dwunastoletnią dziewczynkę, zatrzymywała na noc „dla bezpieczeństwa". Przypuszczalnie jednak wszystkie kumoszki z Okołoka i okolic znały już na pamięć historję o mężu rakowatym, który zmarł cztery wiosny temu, pogrążając wdowę nie tylko w żalu nieutulonym, ale i w gospodarskich kłopotach. Gdyśmy więc spadli — nietyle z nieba, ile z rzeki — zarzuciła nas gradem „rozmawitych" swoich bolączek.

Jeszcze mi się w oczach mieniły wszystkie barwy zachodu, a w uszach szumiał słodko nasz całodzienny, nieodstępny towarzysz — wiatr, gdy więc kumoszki zaczęły roztrząsać wady i zalety miejscowego proboszcza, wymknęłam się z izby, aby raz jeszcze spojrzeć na Boży świat.

Książyc wzeszedł już, mocno z prawego boku nadkąszony. Trawiasta przestrzeń, dzieląca mię od rzeki, pokryta była silną rosą, srebrzącą się w księżycowej poświacie. Górą, po czubach drzew, przelatywał dreszcz niespokojny — i taki sam dreszcz nakłówał srebrnemi igiełkami gładką powierzchnię wody.

W dole majaczył długi, wąski, biały cień „Bobra" [1]).

Szłam ostrożnie, skradając się, jakby w obawie, że mogę spłoszyć tę fantastyczną parę. W noc księżycową — Księżniczka Hańcza musiała opowiadać dziwy o sobie, a słuchał tych bajek, przytulony do kraju szaty — rozkochany i wierny jej Paź.

Ukryta za pniem wierzby istota ludzka musiała długo wytężać słuch, by z tej rozmowy, złożonej z westchnień, kląskań, szmerów i zmiennych lśnień na wodzie — uchwycić bodaj jedno słowo.

---

[1]) „Bóbr" — nazwa kajaka, o którym mowa w powieści.

Łaskawy los, a może czar niesamowitej godziny sprawił, że zrozumiałam. Chociaż dobiegły mię zaledwie strzępki tego niezwykłego djalogu...

— — — — — — — — — — — — — — — —

— ...a spojrzawszy na mnie, Książe [2]) wykrzyknął: „Gana cze!", to znaczy: „Dosyć tutaj!" i takie imię noszę na pamiątkę ustanowienia granic między Mazowszem, a Litwą — mówiła Hańcza — Ludzie to dziś uważają za bajkę, ale oni o dawnych czasach wiedzą właśnie tyle, ile umarli ojcowie zapisali w pamięci synów... „Gana cze!" — powtórzył Książe i poprzysiągł, że dalej się nie cofnie... Dotąd widzę błysk jego płowych, ptasich źrenic i słyszę ostre brzmienie głosu, biegnącego echem wgłąb puszczy. Pamiętam czasy Trojdena [3]) lepiej, niż ludzie, bo cóż znaczy tych kilka wieków dla mnie, która mam tysiące lat poza sobą?

— ...Jesteś cudownie piękna, Hańczo! I jesteś wiecznie młoda...

— ...Wiecznie młoda? Być może... Jeżeli zechcesz, pokażę ci trupy drzew, nad któremi zamknęłam wieko szklanej trumny... Pamiętam dęby, rosnące w sercu mojej puszczy. Kiełkowały z nasion w mych oczach, olbrzymy o konarach pokręconych przez wichry, przez tysiąc burz napastowane, nim padły wreszcie pokolei w moje dobrotliwe ramiona... Pokażę ci te ciała, leżące pokotem na samem dnie mego podwodnego królestwa. Duże i małe ryby muskają, goniąc się w zabawie, sędziwe pnie. Taka jestem młoda, mały mój paziu, że może właśnie klepkom, z których jesteś zrobiony, śpiewałam kołysanki, gdy pokryte były jeszcze gęstwą zielonych liści.

Śmiała się cicho, omotując smukłe ciało „Bobra" splotami wodorostów. Biegła nieprzerwanie, a nie oddalała się. Zastawiwszy podstępnie sidła, podarła księżyc na kawałki i rozsypała po wodzie, jak srebrne talary. Mówiła dalej:

— ...Lubię w taką noc, jak dzisiejsza, wspominać dawne dzieje. Starsze, niż lata dziecięce twych krewnych z lasu, biały odmieńcze! W miejscu, gdzie opuszczam Wigry, widzę jeszcze niekiedy cienie wojowników, odzianych w skórzane kaftany i koszulki, plecione z drutu... Niejeden z nich padł twarzą w wodę, ugodzony ciosem śmiertelnym. Pędzeni przez wroga, kryli się w oczeretach, brnęli przez bagna, aby tam zginąć... Ich Książę, później potężny król Polski, lubił przyjeżdżać w te strony na łowy. Zapędziwszy się kiedyś za grubym zwierzem z puszczy, omal nie dostał się w ręce krzyżackie... Szeptałam: „Umykaj, jeśli ci życie miłe!". Zrozumiał moją radę, przeprawił się wpław na małą wysepkę [4]) i w tej kępce zieleni, otoczonej jeziorem, przeczekał całe trzy dni, zanim nie nadszedł hufiec zbrojny, z którym bezpiecznie mógł wracać na swój książęcy dwór.

— Widywałaś więc różnych ludzi, Czarna Hańczo?

— Widywałam k r ó l ó w, których ciała rozsypały się w proch, zanim zdążyły zdrewnieć pod korą twoje dębowe klepki! Widywałam wielu gospodarzy tej ziemi, o których nikt już dziś nie pamięta. Lecz tam, gdzie dążę nieprzerwanie, aby się spotkać z Niemnem, mym starszym bratem, ujrzałam kiedyś człowieka, którego nie zapomnę nigdy, choć nie był nawet królem. Zapadała ciepła, czerwcowa noc; słowiki jeszcze śpiewały w krzewach pobliskich i księżyc świecił jasno, jak teraz. Ów człowiek [5]) usiadł z towarzyszem na brzegu i patrzył na mnie długo. Nigdy nie zapomnę tych oczu, które w i d z i a ł y wszystko niewidzialne dla innych... Rozmawiał ze swym towarzyszem, a to, co opowiadał, było najpiękniejszą historją, jaką kiedykolwiek słyszałam... Mówił o czasach dawnych, dawniejszych, niż dzieje jego ojczyzny. Przybył w te strony, aby w piaskach nadniemeńskich, na wydmach pustych i jałowych odszukiwać ułamki krzemieni, albo skorup glinianych. Gromadził je skrzętnie i uwoził ze sobą, jak najcenniejszy skarb, aby potem sklejać z okruchów b a j e c z n e d z i e j e tej ziemi...

Księżyc skrył się za gałęź wierzby. Długi cień padł na wodę. Lecz w ciszy, przerywanej szelestem wiatru, dzwonił ciągle cichutki głos Czarnej Hańczy, podobny do słowiczego kląskania:

— ...Przesiedział tak do świtu. Noce wiosenne są krótkie. Lecz t a m t a noc była najkrótsza w mojem życiu. Kazałam milczeć drzewom, kazałam milczeć ptakom. Księżyc oświecał jego twarz, niepiękną twarz c z ł o w i e k a, mówiącego rzeczy tak piękne zwyczajnym, l u d z k i m głosem... Zatrzymałam się w biegu, by słuchać... słuchać... słuchać...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Nie dlatego, że Hańcza umilkła, oderwałam się wreszcie od pnia wierzby. Głowę miałam gorącą, lecz zamiast rąk i nóg—kawałki lodu. Chłodne bywają noce sierpniowe i trwają dłużej, niż ta, o której Hańcza lubi śnić, gdy księżyc świeci.

Niebardzo musiałam być przytomna, bo i mnie zaczęły śnić się rzeczy dziwne, gdy wracałam powoli, — obficie kąpiąc stopy w rosie — pod gościnny dach wdowy.

A byłabym wówczas przysięgła, że słyszę wyraźnie i c h głosy, nucące takie słowa:

— ...Biegnę łąkami, biegnę lasem
I wiecznie trwa mój bieg.
Zlewa się we mnie przestrzeń z czasem,
Oddal przemienia się w brzeg!
— Hańczo, najukochańsza z rzek! —

Gdyś do mej wody się zapalił
Statku — niestatku młody, —
Kochaj mię w coraz innej fali,
Bo każda, patrz, ucieka dalej,
Choć tamą we mnie bór się wali,
Choć gwiazdy wbijam do wody!
— — — — — — — — — — — —

— Hańczo, najukochańsza z rzek! —

WANDA MIŁASZEWSKA

²) Trojden, Książe Litewski. Podanie o nazwie Czarnej Hańczy cytuje Z. Gloger („Podróż Niemnem" — Wisła, t. II, 1878 r.).

³) W wieku XIII-tym Trojden toczył zacięte walki z Mazurami.

⁴) W okolicach Wigier popularne jest po dziś dzień podanie, jakoby król Władysław Jagiełło, wówczas jeszcze W. Ks. Litwy, napadnięty znienacka w czasie łowów, skrył się na wysepkę przybrzeżną i w miejscu, gdzie stoi obecnie klasztor, przebywał trzy dni, czekając na odsiecz. W związku z tem wydarzeniem miał jakoby pierwszy sprowadzić OO. Kamedułów i osadzić ich w pustelni. Obecnie wyspa ta przez usypaną groblę łączy się z lądem. Freski w jednym z ołtarzy przedstawiają chwilę, gdy król nadaje Ojcom Kamedułom prawo do osiedlenia się na Wigrach. Tło malowidła stanowi charakterystyczny pejzaż Wigierski.

⁵) Istotnie, Zygmunt Gloger zatrzymał się na nocleg w Niemnowie, 11 czerwca 1872 roku Krótką tę noc, spędzoną nad brzegiem Hańczy, która tam właśnie wpada do Niemna, opisał później w przepięknej książce p. t. „Dolinami rzek" (F. Hoesick, 1903 r.).

NA WIDOWNI

Autentyczna rozmowa, podsłuchana w wagonie. — Inżynier a słuchacz Politechniki.

W PRZEPEŁNIONYM pociągu pośpiesznym „Bydgoszcz — Warszawa“ stałem w korytarzu nowego, wygodnie i elegancko urządzonego, pullmanowskiego wagonu. Poza szeroką szybą okna przesuwał się krajobraz równinny, szczególnie smutny i jednostajny w swojej szarości w pochmurne popołudnie grudniowe. Przez otwarte drzwi sąsiedniego przedziału dobiegała głośna rozmowa pasażerów: jakiś pan, lat około pięćdziesięciu, jak ze słów jego wynikało — inżynier, pouczał swą, o dziesięć lat mniejwięcej młodszą towarzyszkę podróży, która wywodom tym przysłuchiwała się z widoczną uwagą i uszanowaniem. W pociągu było zainstalowane radjo, inżynier miał na uszach słuchawki, jednak zainteresowanie dźwiękami „muzyki tanecznej“ w niczem nie odbijało się na werwie jego jako rozmówcy, poza tem chyba, że perorował głosem zlekka podniesionym, podczas gdy cichsze pytania i odpowiedzi współpodróżniczki ginęły niejednokrotnie w turkocie kół i zwykłym podczas jazdy koleją rozgwarze.

Równo toczył się długi wagon, kołysząc się na potężnych resorach, niezaprzeczenie lepiej zbudowany, niż normalne wozy pociągów pośpiesznych we Francji, w Szwajcarji, we Włoszech. W tym zakresie jesteśmy stanowczo „Europą“. Czy jesteśmy nią także w sferze instynktów i pojęć prawnych przeciętnego obywatela, choćby tylko u warstwy oświeconej, czy mocne są pośród nas i niesporne owe najprostsze, najbardziej zasadnicze podstawy, na których cywilizacja polska jedynie może znajdować oparcie?

Inżynier mówił tak głośno, że na korytarzu słychać było dokładnie każde słowo:

— I cóż tych ludzi łączy, proszę pani, co łączy tę całą opozycję? Tylko chęć dorwania się do rządów, nic więcej. Co wspólnego ma endek z socjalistą? Nic absolutnie. Jakże mogliby kierować państwem, doszedłszy, przypuśćmy, do władzy, kiedy jeden, naprzykład, chce tak, a drugi znowu, okazuje się, ma poglądy zupełnie przeciwne. Gdzież tu jakiś jeden program, jakaś myśl wspólna? Każdy ciągnąłby, jak to mówią, w swoją stronę, a rzecz nie ruszyłaby ani na krok...

Na równoległym torze mijał nas właśnie, dążący w przeciwnym kierunku, długi pociąg towarowy. Przez kilka chwil stukot zagłuszał wszystko, a za oknami migały czerwone płaszczyzny wagonów. Po niejakim czasie znów doszedł uszu moich głos inżyniera, prawiącego tonem najgłębszego przekonania:

— Tak, proszę pani. Taki książę Radziwiłł i taki, naprzykład, Moraczewski, czyż indywidualności tak zupełnie odmienne możnaby wogóle zamknąć w ramkach jakiegokolwiek wspólnego „programu"? (wyraz „program“ wymawiał z niezmiernym sarkazmem). Wogóle jednostki wybitne, jednostki, że się tak wyrażę, nieprzeciętne, nie znoszą, żeby je krępować jakimś jednym szablonem, żeby miały mówić sobie: to jest mój program, w taki sposób mam obowiązek postępować. One tylko, widzi pani, czują jedno: chcą rządzić! Tylko tacy ludzie niejednostronni, rozmaici, mogą razem poprowadzić Państwo...

Parominutowy postój na stacji, podczas którego udało mi się kupić najświeższe, warszawskie gazety. Zagłębiłem się w obszerne sprawozdania z procesu więźniów brzeskich. Kiedy zapadający szybko zmrok zmusił mnie do oderwania oczu od druku, zauważyłem, że także Brześć był w tej chwili przedmiotem ożywionej dyskusji w przedziale:

— Nie rozumiem — ciągnął inżynier — poco wogóle ten cały proces: posiedzieli, wypuścili ich, i sprawa przecież skończona. Poco było odgrzebywać rzecz, raz załatwioną i robić takie widowisko wobec zagranicy. Osobiście nie widzę żadnej racji...

— Ale ich w Brześciu podobno męczono — zauważył nieśmiały głosik kobiecy.

— Tak nie wolno mówić, proszę pani, — ton inżyniera był w tej chwili wyraźnie karcący. — Państwo nie jest dla przyjemności kilkunastu panów, ale dla wszystkich obywateli jednakowo. Nie o to chodzi, czy kilkunastu panów posłów będzie miało przyjemniejszy, czy mniej przyjemny pobyt w Brześciu, bo w państwie nowoczesnem dla nikogo przywilejów...

— To prawda, — w głosie niewieścim brzmiała nuta niezdecydowania — ale, bądź jak bądź, tam siedzieli dawni ministrowie, taki Korfanty, taki Witos...

— Choćby i najbardziej zasłużeni, to cóż z tego? — zareplikował żywo inżynier. — Czytała pani rezolucje „centrolewu" w Krakowie? Czytała pani, jak się w tych uchwałach domagali ustąpienia Prezydenta Rzplitej? Ładnieby było, gdyby jakiejś grupie ludzi, nawet najzasłużeńszych, mógł ni stąd ni z owąd nie spodobać się Prezydent i doprowadzali go do podania się do dymisji! Czy to się nazywa drogą legalną, czy nielegalną, już sam zamiar taki jest wprost zbrodnią. Gdzieindziej inaczejby za taką zbrodnię ukarano. Nie chodzi mi o osobę Prezydenta, może być ten, albo inny, ale zasadniczo, z państwowego stanowiska...

Przez chwilę rozmowa stała się cichsza, towarzyszka podróży nie była wszakże jeszcze całkowicie przekonana elokwencją inżyniera, wkrótce bowiem głos jego znowu zadźwięczał donośniej:

— A skąd pani to wie, że go zamordowali?! Skąd pani wie, że nie uciekł, że nie siedzi sobie teraz wygodnie zagranicą i nie śmieje się wesoło z tego wszystkiego, co o nim tutaj wypisują?

— Ale czemu o tem nic nie wiadomo?

— Rząd może mieć swoje powody, że nie ujawnia, gdzie on jest, choćby nawet wiedział. Ale widzi pani najlepiej, jakich metod walki chwyta się opozycja, byle tylko postawić na swojem, jak umyślnie wypisuje kłamstwa, że ktoś nie żyje, bo jej o to tylko chodzi, żeby szkodzić Państwu...

— To byłoby okropne...

— Widzi pani, sama pani widzi najlepiej! Polityka to rzecz obrzydliwa, wstrętna i tacy ludzie z partji nie wahają się posługiwać najbezczelniejszem kłamstwem, bo interes partyjny tak im każe. Ma pani na tej sprawie najlepszy dowód, że opozycja nie cofa się przed niczem, przed największem łajdactwem, aby tylko zniszczyć przeciwnika...

— To prawda... Jakież to ohydne, ta polityka...

Asystowałem tej rozmowie w nastroju raczej ponurym. Gdy podniosłem oczy, zauważyłem, że tuż obok mnie stał młody, dwudziestoletni może student politechniki: w klapie marynarki miał odznakę słuchacza inżynierji lądowej i wązką, zieloną wstążeczkę. Zobaczyłem, że słuchał również uważnie i uśmiechał się coraz ironiczniej. Spojrzeliśmy

na siebie porozumiewawczo i — obaj parsknęliśmy śmiechem.

W przedziale zmieniono tymczasem temat pogawędki, dobiegły nas bowiem słowa inżyniera:

— Na przyszły rok wybieram się do Paryża. Na międzynarodowy kongres esperantystów. To, proszę pani, wielka, genjalna idea, za wielka, żeby ją dzisiejsi ludzie mogli zrozumieć. Ale, mówię pani, że muszą zniknąć różnice między narodami, że dojdzie do Paneuropy, że wszyscy ludzie będą musieli porozumiewać się jednym językiem, choćby ze względu na interesy handlowe...

Jednak raz zrodzony nastrój wesołości nie opuszczał nas już do końca. Na „teraźniejszość”, reprezentowaną przez rozmówców z przedziału, mogliśmy spoglądać spokojnie, ze śmiechem. Wiedzieliśmy, że przyszłość nasza innym przemówi językiem, przyszłość, w której nie znajdzie się miejsca na Paneuropę, ale wiele, wiele więcej będzie... Europy.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

KAZIMIERZ TETMAJER. Świat literacki przypomniał sobie świetne czasy rozkwitu poezji Kazimierza Tetmajera i urządził mu owację w postaci uroczystych wieczorów literackich na jego cześć w Krakowie i Warszawie. Nazwano to jubileuszem 45-lecia pracy pisarskiej, a dla wielbicieli talentu tego poety obrzęd ten był okazją prawdziwego wzruszenia.

Żyje przecież między nami na tej równinie mazowieckiej, w najgorszych warunkach wielkiego miasta ów orzeł ze Skalnego Podhala, powłócząc złamanem skrzydłem! Czemuż los nie dał mu wrócić na koniec życia do Ludzimierza, gdzie się rodził i wychował w gnieździe górskiem?

Powinowaty poetom romantycznym, wziął po nich berło poezji polskiej, nie wprost, lecz po Asnyku, aby oddać je następnie Kasprowiczowi. Polska poezja nowoczesna od stulecia ma swoją stolicę w Tatrach i tam się koronuje, biorąc koronę z rąk ludu. Tajemnicą ich władzy był jakiś mistyczny związek z przyrodą, przez lud ułatwiony. Tam w górach poeci dostępowali łaski wtajemniczeń w myśl twórczą, stamtąd udzielała im się siła jasnowidzenia poetyckiego, nieznana im w nizinach. Było właściwie dwóch Tetmajerów. Jeden, nizinny, śpiewał:

Melancholja, tęsknota, smutek, zniechęcenie
Są treścią mojej duszy. Z skrzydły złamanemi
Myśl ma zamiast powietrzne przerzynać bezdenie,
Włóczy się, jak zbarczone żórawie po ziemi.

A drugi Tetmajer, choć ten sam, był Janosikiem poezji siły, któremu nie dziwne są Wyrwidęby i Waligóry. Ten drugi był góralem. Ten drugi pisał „Na Skalnem Podhalu”.

Oba jednak te bieguny duszy—słabości i siły, biegunami były również ducha epoki. Oba te krańce znalazły w Tetmajerze swój wyraz. Za to, że czuł i czarodziejem był słowa, dobytego z głębi wtajemniczeń poetyckich, społeczeństwo hołd mu składa,

OBJAW ŻYWIOŁOWY, JAKIM W ISTOCIE SWEJ było ostatnie powstanie akademików przeciw zalewowi żydowskiemu na wyższych uczelniach, niemało dodał otuchy społeczeństwu, borykającemu się z polipem, ale u niektórych obserwatorów obudził także i zastrzeżenia. Postarajmy się wniknąć w ich istotę. Uwydatni to wyjątkowy charakter zagadnienia żydowskiego. Niewątpliwie, w nikim nie mógł obudzić dumy sportowej fakt, że czasem w piętnastu nastawano na jednego Żyda (kiedyindziej, jak wiadomo, zdarzało się, że i Żydzi byli w przewadze). Czy zatem należało czekać, aż Żydzi staną się większością na uniwersytetach, i wtedy dopiero podjąć z nimi sportową walkę? Czy lojalność nie pozwalałaby wcześniej myśleć o samoobronie? Widać, że na tej drodze rozumowania dochodzimy do absurdu. Pochodzi to stąd, że zagadnienie żydowskie nie jest podobne do żadnego innego w europejskich stosunkach międzynarodowych. Podstawy bytu i środki walki przeciwnika są tu odmienne. Siłą jego właśnie jest pozycja mniejszości, mniejszości niestosunkowo do swej liczb wypływowej. Obrona tej pozycji przez szermowanie argumentem „rycerskości“, obowiązującej naród — gospodarza, jest zarówno wygodna jak podstępna. Akademik pozornie nacierał, w gruncie rzeczy był — powstańcem, którego odruch zresztą, według komunikatów oficjalnych, „zgnieciono“.

KWESTJA ŻYDOWSKA MA TO DO SIEBIE, że konflikty, z niej wynikające, mało dają ubocznych korzyści cywilizacyjnych. Posiadanie zagadnienia żydowskiego, zwłaszcza w tym, co u nas rozmiarze, nie jest niczem pomyślnem. Zbyt odlegli są od nas Żydzi ustrojem psychicznym i pojęciami, żeby walka z tą społecznością azjatycką była tak kształcąca, jak różne walki między narodami europejskiemi. Jest nakazem zdrowego sensu, a nie ma nic z donkiszotowskiej gonitwy za laurami. Nie znaczy to, żebyśmy mieli tradycje rycerskie mniej cenić, nawet gdy mamy do czynienia z tak dalekim od europejskości przeciwnikiem. Wymagają one w tych warunkach nawet specjalnej pielęgnacji. Ale nie sprzyja temu zgoła okoliczność, że urzędowem rozwiązaniem trudności jest uznawanie ich za nie istniejące. W szczególności na uniwersytetach nie złagodzi się stanu zapalnego zaniechaniem djagnozy. W odruchach żywiołowych, wynikających z zetknięcia masowego ras zbyt różnych, walka staje się, jak zawsze w takich wypadkach, prymitywniejsza. Kto wie, czy nie najbardziej celowym i właściwym krokiem ku lepszemu unormowaniu wzajemnych stosunków będzie wstępne zarządzenie, które, według pism, ma wejść w życie na uniwersytecie wileńskim. Szatnie i toalety mają podobno być dla Żydów osobne. Z punktu widzenia „humanitaryzmu“ zarządzenie to można równie dobrze chwalić, jak potępiać. Kto się jednak zastanawiał nad organizacją współżycia ras sobie obcych, temu drobna ta reforma nie wyda się mało celowa ani mało ważna.

TRUDNO O WIĘKSZĄ TRUSIĘ, NIŻ NASZA „MOCARSTWOWOŚĆ“. „Mocarstwowy“ okrzyk— to jedno z upokorzeń, do których naród przyzwyczaja się w dzisiejszych czasach. Odcięci przez cenzurę od styczności z opinją Europy, w odgrodzonem państwie winszujemy sobie, że coraz

więcej szanują nas zagranicą, że nasz *prestige* międzynarodowy z roku na rok wzrasta, że coraz więcej imponujemy światu. Jakże wygląda to wszystko w oczach ludzi, dla których ambicja mocarstwowości ma być prawdą, a nie frazesem? Jakże z tą ambicją pogodzić dzisiejszą lękliwość wobec głosów z zagranicy? Przesiewać je i cenzurować, to czynności niegodne poczucia mocarstwowego. Można nie dbać o nie, nie wypada się ich obawiać. Najmniej wolno wiedzieć o tem, co pisze zagranica, czytelnikom „Gazety Polskiej", donoszącej regularnie, że nasz *prestige* stale się zwiększa. Jakim szokiem dla jej czytelników musiał być list R. Rollanda! Skąd mogło przyjść na myśl Francuzowi krytykować metody brzeskie? Zaliż cały Zachód nie przyjął Brześcia tym samym szmerem uznania, co „zdrowa opinja polska"? Czyliż nie utwierdził się po tym fakcie szacunek dla posterunku cywilizacji zachodniej na wschodzie? Czemuż redaktor polemizował z odosobnionym głosem „dziwaka"? Nierozwikłane zagadki dla „mocarstwowca". A w tym samym numerze, gdzie kolumnę prawie zajęły usprawiedliwiania się redaktora przed zagranicznym krytykiem, wydrukowano: „Troskę o dobre recenzje zagraniczne pozostawiamy rycerzom takich czy innych obcych ajentur". Jak nieodpowiedzialnie wygłasza się te pseudo-mocarstwowe frazesy! Nietylko przeczą im troski polemiczne redaktora, ale jaka jest w świetle tego uproszczonego poglądu rola Wydziału Prasy i Propagandy M. S. Z.? Czyżby to była praca obcej agentury w Polsce? Gdybyż raz „mocarstwowe" hasło wzięto na serjo, a „mocarstwowcy" nauczyli się też dumy narodowej...

GRUPA PUŁKOWNIKÓW

OBÓZ „SANACJI" jest zespołem najprzeróżniejszych grup i grupek, organizowanych i powstających z pobudek nieraz zgoła różnych, ale zmierzających do jednego celu. Najpoważniejsze wśród tego obozu są dwie grupy. Jedna— „bartlowców"; to grupa przeważnie składająca się z cywilów: Należą do niej ci i owi z pośród wojskowych, ale w niewielkiej liczbie i nie odgrywają oni wybitniejszej roli, są to niektórzy generałowie Druga grupa—pułkowników, jest silniejsza, trzyma obecnie ster rządów, posiada wpływy, ona nadaje ton życiu państwowemu.

Organizacyjną grupę pułkowników stanowią:

1. Beck Józef, ur. 1894, piłsudczyk, legjony, oficer II oddz., po przewrocie majowym szef gabinetu ministra spraw wojskowych J. Piłsudskiego (1926—30), potem wice-premjer, od połowy roku 1931 wice-minister spraw zagranicznych, mąż zaufania p. marszałka.

2. Jędrzejewicz Janusz, legjony, P. O. W., po przewrocie majowym „obserwator" w ministerjum oświaty, mason, aktualnie minister wyznań religij. i oświaty.

3. Matuszewski Ignacy, ur. 1891, b. kapitan armji ros., szef II oddz. polsk. Sztabu gener., po przewrocie majowym kierownik minister. skarbu, aktualnie publicysta „Gazety Polskiej".

4. Miedziński Bogusław, ur. 1891, „Strzelec", legjony, pułkownik sztabu generalnego (II oddział), poseł na sejm, po przewrocie majowym minister poczt i telegrafów, 1927—29 red. „Gazety Polskiej".

5. Pieracki Bronisław, pułkownik, oficer II oddz., w dniach przewrotu majowego w „taktycznej rezerwie", w r. bieżącym minister spraw wewnętrznych; dnia 20 listopada 1931 w godzinach południowych był przyjęty w Belwederze, podobno ta wizyta pozostawała w związku z zeznaniami, jakie 19 lst. złożył w procesie brzeskim prof. Marjan Kukiel, generał brygady w stanie spoczynku.

6. Prystor Aleksander, ur. 1874, towarzysz pracy Józefa Piłsudskiego w kierownictwie bojówką w 1904/5 r., od 1917 w P. O. W., po przewrocie majowym awans na pułkownika, kierownik działu personalnego w minist. spraw wojskowych, potem minister pracy i opieki społecznej, w roku bieżącym premjer, mąż zaufania p. marszałka.

7. Sławek Walery, ur. 1879. Jeden z kierowników bojówką w 1904/5, legjony, oficer II oddz., w roku 1930 premjer, prezes klubu parlamentarnego BB; jako „wybitna umysłowość", desygnowany do przeprowadzenia w praktyce zamysłów marszałka Piłsudskiego.

8. Świtalski Kazimierz, ur. 1888, dyplomowany filozof, legjony, praca w adjutanturze generalnej naczelnika państwa J. Piłsudskiego, po przewrocie majowym dyrektor depart. polit. w minist. spraw wewnętrz., minister oświecenia, premjer w r. 1929, egzegeta i komentator programu politycznego BB.

9. Stamirowski Kazimierz, ur. 1894, legjony, jeden z adjutantów b. naczelnika państwa, przed przewrotem majowym dowódca 7 pułku ułanów, po przewrocie dyrektor depart. policzyt. w minist. spraw wewnętrznych, aktualnie tamże wiceminister, gorliwy filosemita; autor sentencji, że „sam stopień służbowy mówi o stopniu inteligencji", poczem awans na wicepremjera.

10. Kostek-Biernacki, pułkownik; jako major udział w wypadkach krakowskich z r. 1923 (masakra ułanów); Brześć, potem wojewoda nowogródzki, bramy trjumfalne w Nieświeżu, na zamku Radziwiłłów; poeta, autor niedawno wydanej książki p. t. „Djabeł zwycięzca", pełnej nienawiści do religji katolickiej.

11. Dziadosz Władysław, mjr. Za usiłowane oszustwo zasądzony na trzy tygodnie więzienia wyrokiem Sądu Okręgow. Wojskowego w Grudziądzu dn. 4/XII 1920, wyrok zatwierdzony przez Najwyższy Sąd Wojskowy w Warszawie, zasądzony karę odsiedział; później rewizja procesu i uniewinnienie. Szef wywiadu, radca legacyjny M. S. Z., szef bezpieczeństwa w Krakowie i Tarnopolu (Okręgi, leżące w odcinku koncesji Harrimana, a Tarnopolskie zagrożone jeszcze przez akcję dywersyjną terorystów rusińskich), wicewojewoda kielecki i białostocki, dyrektor biura w prezydjum rady ministrów, ostatnio dyrektor biura sejmowego.

12. Matuszewski Leonard, podpułkownik, oficer II oddz., adjutant prezydenta Mościckiego, potem przydział w Ministerjum spraw wojsk., Brześć.

13. Ryszanek, mjr. oficer II oddz., Brześć, w r. 1931 postrzelony wypadkowo w nogę w kasynie.

14. Wenda mjr., nazwisko p. mjra było wymieniane w prasie w związku z zaginięciem gen. Zagórskiego.

W orbicie tej grupy „pułkowników" pozostają: gen. Roman Górecki, dyrektor „pomajowy" Banku Gospodarstwa Krajowego; gen. Sławoj-Składkowski min. spr. wewn. po maju 1926 (okólnik o parkanach); były adjutant Naczelnika Państwa J. Piłsudskiego Wieniawa Długoszowski, obecnie generał;

pułk. Jagrym Maleszewski, komendant policji całego państwa; Kazimierz Pieracki, wiceminister oświaty, brat ministra spraw wewnętrznych; p. Car, adwokat, sędzia pokoju w 1913—1915, szef kancelarji cywilnej naczelnika państwa J. Piłsudskiego i prezydenta Mościckiego w r. 1926, minister sprawiedliwości w rządach pomajowych, Stefan Starzyński i W. Jastrzębski, wiceministrowie skarbu, inspiratorzy polityki ekonomicznej obozu rzadowego po przewrocie majowym, obaj gorliwi zwolennicy „upaństwowienia środków produkcji i wymiany", przyczem p. Jastrzębski, obecny wiceminister skarbu, jest autorem broszury „Raboczije i sozdanje narodnowo choziajstwa", wydanej w r. 1918 ze wstępem Mołotowa.

Źródła zagraniczne wymieniają te osoby z pośród wielkich agrarjuszy i przemysłowców, które udzieliły i udzielają poparcia, zwłaszcza finansowego w czasie wyborów, grupie pułkowników. A więc Janusz Radziwiłł, dyrektor departamentu stanu Rady rejencyjnej, poseł na sejm z BB, książę Zdzisław Lubomirski, członek Rady rejencyjnej, obecnie senator z BB, hr. Zdzisław Tarnowski, senator z BB, prezes konserwatystów (t. zw. stronnictwo prawicy narodowej); łódzcy przemysłowcy Grohman i Poznański (prezes filji łódzkiej stronnictwa, organ „Prawda"), członek rady naczelnej stronnictwa; cukrownik Żychliński z Wielkopolski, prezes poznańskiego ziemstwa kredytowego, prezes zarządu zw. zachodnio-polskiego przemysłu cukrowniczego, prezes zarządu naczelnej organizacji zjednoczonego przemysłu i rolnictwa zachodniej Polski, prezes rady nadzorczej Banku cukrownictwa; dalej Hipolit Gliwic, b. radca handlowy polskiego poselstwa w Stanach Zjednoczonych i główny, a także istotny medjator pożyczki kluczowej za rządów „sanacji", podczas gdy dyr. Młynarski miał rolę raczej reprezentacyjną, minister przemysłu od maja do września 1926, wiceprezes Banku handlowego i syndykatu polskich hut żelaznych; Hołyński, prezes „Lewjatana", skuzynowany z p. Ign. Matuszewskim; Rudowski Jan, wiceprezes Centralnego Tow. Roln. 1928—30, prezes Centr. Tow. Organizacyj i kółek rolniczych. Do kompletu należy jeszcze przywódca związku kupców żydowskich poseł Wiślicki.

To jest odpowiednio ustopniowany trzon główny organizacji BB. W sferę jego wpływów wciągane są różne organizacyjki, kliki i grupki, tworzące ogólny konglomerat obozu pomajowego.

Paryż, w grudniu. C. FRACASSE

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

W przypisku redakcyjnym do pierwszej części artykułu p. Nikoli Vlatkowica (nr. 58) mylnie podaliśmy, jakoby on sam przełożył tragedję Lovricza „Syn". Przełożył ją Polak, p. Wiktor Bazielich z Katowic w celu wydania tego utworu łącznie z innemi w książce.

Przy sposobności dodajemy, że autor szkicu literackiego, ukazującego się w „Myśli Narodowej" p. Vlatković rodem jest z Bośni. Tam w Bihaczu się wychował, uniwersytet — wydział filozoficzny — ukończył w Pradze czeskiej. Jest potomkiem jednego z najstarszych w Serbji rodów, wielkich książąt hercogowińskich Vlatkowiców, którym Jugosławja zawdzięcza silne umocowanie nad morzem i pełne chwały dzieje.

P. Vlatković, bawiąc w Warszawie od wiosny, poświęca się studjom nad literaturą polską, zwłaszcza z okresu mesjanizmu, pełen wiary w wielką rolę Polski w świecie, zwłaszcza w Słowiańszczyźnie. Jest gorącym przyjacielem Polski, gotowym stanąć w jej obronie, jak tego dał dowód jeszcze będąc w Pradze, gdy w dzienniku „*Samostatnost*" (z 13 lutego r. b.) wystąpił energicznie w obronie polskiego Pomorza od zakusów niemieckich. Była to polemika z propagandowym artykułem w kwestji Pomorza w „*Vossische Zeitung*". W książce, nad którą teraz pracuje, uzasadnia obszernie prawa Polski do Bałtyku.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Z okazałą, jak na obecne stosunki wydawnicze, gwiazdką wystąpiła księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu. Jednego dnia rzuciła na stoły księgarskie dziesięć grubych powieści dla młodzieży w doskonałym wyborze. Mianowicie: Jana Muron „Wyspa Hispanola", Fl. Barclay „Biała Ksieni z Worcester", Emilji Salgari „Dramat na Oceanie Spokojnym", Marji Reuttówny „Królewna", R. L. Knox'a „Czyja ręka", W. Szalay-Groele „Sokół królewski", Rambauda „Pierścień Cezara", Starzeńczyka „Zwycięskie lilje", Szczepana Jeleńskiego „Hallelu Jah!", Zofji Kossak-Szczuckiej „Ku swoim".

Wszystko to ks ążki starannie wydane, oprawne i gwarantowane co do treści.

*

Jako osobne odbicie z „Pamiętnika Literackiego" wydana została rozprawa Mieczysława Piszczkowskiego „Ignacy Krasicki a La Rochefoucaald i La Bruyère". Autor na wstępie rozpatruje różnicę między dwoma typami literackiemi o wartościach moralnych, moralisty i moralizatora, o ile te wartości występują na pierwszy i zasadniczy plan w twórczości literackiej wogóle, a w epoce nowego polskiego renesansu, w literaturze stanisławowskiej, w szczególności. Oddawna, od Reja, po przez wiek siedemnasty, ma literatura moralna i moralizatorska swą bujną tradycję, i cechy jej narodowe i społeczne pojawiają się w bajkach, satyrach, pamfletach i paszkwilach. Rozpatrywanie ich przez Piszczkowskiego na tak rozległym obszarze, odrazu już, na pierwszy rzut oka na jego pracę, znamionuje wszechstronne, od źródeł greckiej i rzymskiej literatury klasycznej, traktowanie materjału i szerokie horyzonty myślowe. Sumienny erudyt zestawia w treściwych definicjach ważkie na podjęty temat opinje uczonych polskich, Nehringa, Wojciechowskiego, Chrzanowskiego, Bruchnalskiego, Kleinera i Gubrynowicza, a w zestawieniu z analogicznym charakterem francuskich utworów, zdania uczonych francuskich, między innymi Strowskiego, profesora Sorbony. W ten sposób odtwarza kulturę epoki stanisławowskiej i atmosferę wpływów na nią z zagranicy, dzieł nie tylko dwóch pisarzów, wymienionych w tytule, ale „wojujących racjonalistów i encyklopedystów, zapamiętałych, fanatycznych, uniwersalnych burzycieli, jak Voltaire, Rousseau, Diderot, Montesquieu". Styl rozprawy jasny, określenia lapidarne, zmysł rzeczywistości, wyczucie artystycznego kunsztu, dowcipu i ironji, stawiają to studjum obok najlepszych w naszej literaturze historyczno-krytycznej.

Psychologiczny portret Krasickiego, poety, estety, dworaka i dostojnika Kościoła, w każdym wierszu tchnie rumieńcem życia, ukazując oblicze tej skomplikowanej indywidualności obywatela i sybaryty, optymisty i sceptyka. Nie małą też zasługą komentatora i badacza jest zaciekawienie, którem umie pociągnąć czytelników ku dziełom Ignacego Krasickiego, zapomnianym, mimo, że po stu kilkudziesięciu latach ich barwy malarskie nie zblakły, a sól attycka nie zwietrzała. Swego czasu Stanisław Tarnowski, profesor literatury polskiej na uniwersytecie Jagiellońskim, gorżko ubolewał nad obojętnością dla piękna literackiej spuścizny Krasickiego. To zapoznanie i niesprawiedliwość skończyły się. Przybywają coraz nowe studja badawcze, a jak doniosło jedno z pism, literat francuski Paweł Cazin, tłumacz powieści Weyssenhofa, zamierza swem studjum o Krasickim habilitować się na uniwersytecie paryskim. (A. W.)

*

Uroczystości ku czci Igacego Paderewskiego, z racji ukończenia przez niego w pełni sił i zdrowia 71 lat życia, spowodowały ogłoszenie w pismach krajowych i zagranicznych szeregu artykułów. Przedtem jeszcze księgarnia Gebethnera i Wolfa wydała, obszerne i jak dotychczas w naszej literaturze najbardziej wyczerpujące, studjum biograficzne, pióra znanego muzyka Henryka Opieńskiego, „Ignacy Jan Paderewski", — nowy tom Bibljoteki Muzycznej, pod redacją Mateusza Glińskiego. Studjum to, opracowane z talentem narratorskim, szczegółowo a przejrzyście, wydano artystycznie, z 17-stu podobiznami mistrza, wedle, od najmłodszych jego lat, fotografij i portretów, pendzla Bilińskiej, Burne Jonesa, Almy Tedemy i rzeźbiarza Błotnickiego. Gienjusz muzyczny i narodowa działalność wielkiego Polaka znalazły w tem studjum wyrazistą i wierną syntezę. Urodził się Paderewski, pisze Opieński „na dalekim podolskim szlaku, pod dachem starego wiejskiego dworu w Kurytówce... Były to

czasy świtającej nadziei i budzącej się znowu, po latach trzydziestu, woli narodu do życia. Jak Polska długa i szeroka, myśl jedna i wspólna ożywiła serca, choć różnice w wyborze dróg, wiodących do celu, były nieraz przepastnie wielkie... Nie było dzieciństwo małego Ignasia sielskie, anielskie. Miało w sobie stygmat męczeństwa". Matka jego urodziła się w Kursku, na wygnaniu. Ojciec, za przechowywanie broni i mundurów dla powstańców, przebywał w więzieniu. W tych warunkach poczęły się u chłopca objawiać zdolności i zamiłowania muzyczne. Opieński pisze o tem interesująco i w sposób fachowy charakteryzuje przebieg lekcyj muzyki w domu, następnie studjów w Instytucie Muzycznem w Warszawie, pierwsze występy pianisty, głębokie zrozumienie przez niego problematu „odpowiedzialności artystycznej", co po latach wzniosło dzieła jego jako kompozytora i pianisty na najwyższe wyżyny sztuki. Sprawozdawcy muzyczni stwierdzają już w jego pierwszych kompozycjach „oryginalny styl", a w wykonaniu dzieł innych twórców, szczególniej Szopena, głębokość liryzmu, rozmaitość i nieporównany wdzięk form. Struny natchnień wydają uszlachetnione motywy ludowe i pieśni do słów Mickiewicza i Asnyka, pomnażając potęgą genjuszu bogactwo muzyki narodowej. Biograf przedstawia w skrótach trjumfy wirtuoza i twórcy świetnych arcydzieł, podziw Paryża, Londynu, Ameryki i Australji, podziw świata, sławę, która w każdej chwili wiąże się z myślą o Polsce. Pozatem powszechnie w świecie znana jest ofiarność i hojność finansowa Paderewskiego, jak i ofarność wszystkich jego sił dla sprawy narodowej, w erze zaboru i po wojnie, w czasie prac politycznych, prowadzonych celem odzyskania niepodległości, czem za życia w sercach narodu postawił sobie Paderewski pomnik wdzięczności. (A. W.)

*

Nakładem Ossolineum we Lwowie ukazało się wspaniała wydawnictwo z zakresu dziejów malarstwa, T a d e u s z a M a ń k o w s k i e g o „Galerja Stanisława Augusta". Lwów 1932. (Stron XVIII + 528 + 233 reprodukcyj na 156 tabl. in 4°).

Do rzadkich zjawisk należy dzieło naukowe, wydane luksusowo. Naukowość działa Mańkowskiego nie przeszkadza jego popularności. Część I, obejmującą dzieje królewskiej galerji obrazów na 176 stronach, przeczyta z zainteresowaniem każdy. Część ilustracyjna dzieła składa się z 233 doskonałych światłodruków na 156 tablicach. Są to reprodukcje obrazów, zebranych i odszukanych w zbiorach publicznych i prywatnych w Polsce i zagranicą, gdzie tylko można je było odnaleźć po 150 blisko latach od czasu rozproszenia galerji. Dzieje jej upadku i rozproszenia, na tle katastrofy politycznej Państwa Polskiego, niemniej są interesujące.

Dzieło oparte jest na dotąd przeważnie nieznanych materjałach, które dają nam poznać ostatniego króla polskiego z jego najbardziej dodatniej strony, łagodzącej ponure cienie, związane z jego rolą w tragedji rozbiorowej.

Dzieło wyszło w ograniczonym tylko do 600 egzemplarzy nakładzie. Cena egzemplarza oprawnego w półkarton zł. 150, w stylowej oprawie w skórę ze złoceniami zł. 200.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Krytyka bieżąca francuska — pomijając zwyczajną reklamę — nie ustaje od paru tygodni w zachwytach swoich nad dwiema powieściami z ostatniej doby. Chodzi tu mianowicie o wspomniane już na tem miejscu dzieła p. J e a n S c h l u m b e r g'a *„Saint-Saturnin"* i J a c q u e s'a C h a r d o n n e t'a *„Claire"*. Z entuzjastycznych głosów krytyki o tych dwóch utworach można wywnioskować, iż są one uważane za niezwykłe zjawiska dla twórczości beletrystycznej francuskiej z okresu powojennego. Na czem polegałaby ta niezwykłość? A no — na tem, że autor *„Saint-Saturnin"* wychodzi poza ciasne szranki przeżyć i doznań tej lub innej jednostki, i w powieści swojej zajmuje się dziejami pewnej rodziny, której członkowie bronią się przed wyzuciem ich nietylko z mienia materjalnego lecz i z dziedzictwa moralnego; autor natomiast *„Claire"* twierdzi wymownie, że miłość prawdziwą można znaleźć w małżeństwie, nie zaś poza niem, czem się głównie zajmuje współczesna powieść francuska.

Tego rodzaju tematy wydały się tak niespotykanemi oddawna w beletrystyce francuskiej, że krytyka zaczęła, z tego powodu, zastanawiać się nad tem, czy te powieści nie zapowiadają czasem stanowczego zwrotu w dotychczasowych kierunkach beletrystyki francuskiej i czy nie wróżą jej „odrodzenia"? Rozpęd krytyki poszedł zadaleko (podobne tematy poruszano już nieraz w okresie powojennym, powieści Roger'a, Martin du Gard i t. p.), niemniej jednak z powieści powyższych powiał duch, jeśli nie nowy, to w każdym razie bardzo zdrowy i bardzo ludzki. W dodatku są to utwory w istocie wysokiej próby. (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

W SALONIE „Sztuka i reprodukcja" (Kredytowa 4) wystawia młody malarz bułgarski Iwan Christoff. Artysta studjował w Akademji Sztuk Pięknych w Sofji i ukończył ją w roku dwudziestym czwartym. Potem podróżował. Był w Monachjum, gdzie zwiedzał skrupulatnie muzea, badając sztukę przeszłości; to samo czynił również we Włoszech. W Monachjum, Rzymie i Turynie urządził wystawy swych prac. Wszędzie krytyka oceniła ich niepoślednie walory. Wędrując, p. Christoff zawitał i do nas z całą kolekcją pejzaży; urządził wystawę, wydał katalog, do którego przedmowę napisał mu dr. M. Treter. Wśród wielu słusznych uwag czytamy tam: „Oto obrazy naszego bułgarskiego gościa świadczą najlepiej o tem, co znaczy, jeśli artysta umiłuje gorąco i prawdziwie p e w n ą d z i e d z i n ę m o t y w ó w"... Dalej okazuje się iż tą „pewną dziedziną" są bułgarskie miasteczka. Pocóż więc ta wstydliwa dyskrecja? Czy nie lepiej powiedzieć poprostu, iż artysta umiłował swój kraj ojczysty? Że to nie zainteresowanie artystyczne wyłącznie skłoniło go do odtwarzania pewnych tematów, że ta miłość, obrawszy swe siedlisko w człowieka-artyście, czynnie ujawniła się w postaci malarstwa. Bułgarja jest krajem młodym, o młodej kulturze i wiele o sobie jeszcze może powiedzieć światu. Będzie się tego słuchało z ciekawością, gdyż świat nie wie o niej zadużo. Rozumie to dobrze p. Chistoff i o własnym kraju chce mówić własnym językiem. Źródło odrębności może znaleźć w sztuce ludowej swego kraju, jak każdy zresztą naród.

Gdy uświadomimy sobie to wszystko, sztuka artysty stanie się nam daleko więcej zrozumiałą i sama jego postać sympatyczną.

P. Christoff posługuje się techniką odrębną i wyrazistą. Jest współczesny, chociaż nikogo nie naśladuje. Używa gruntu kredowego, maluje przeważnie szpachlą, często wyzyskuje biełła, nie pokrywając go farbą. Wsiąkliwy, kredowy grunt daje jego obrazom powierzchnię matową. Niektóre przypominają akwarelę. Przez niegładkie kładzenie plamy barwnej, przeświecanie miejscami tła, wzbogaca efekty kolorystyczne. Maluje góry, miasteczka, stare domki, uliczki swej pięknej ojczyzny. „Gdzie pan mieszka?" — zapytałem go. „Ja? — w całej Bułgarji".

*

Przy ulicy Konwiktorskiej 2 odbyło się uroczyste otwarcie wystawy prac uczniów Szkoły Przemysłu Graficznego. Uroczyste, bo jest to pierwszy pokaz w nowym, wspaniałym gmachu szkoły. Dotychczas bowiem ta ze wszechmiar pożyteczna uczelnia mieściła się w ciasnym i nieodpowiednim budynku na ulicy Pankiewicza 3. Przeniesiona, ma wszelkie dane do pomyślnego rozwoju, gdyż nowy lokal posiada dostateczną ilość miejsca dla uruchomienia wszystkich potrzebnych pracowni, wraz z zainstalowaniem maszyn. Zadaniem szkoły jest kształcenie zawodowe pracowników sztuk graficznych reprodukcyjnych, w trzech zasadniczych działach, litografji, fotochemigrafji i drukarstwie. Jak z tego widać, uczy się tu przyszłych wykonawców cudzych projektów artystycznych, z zakresu grafiki użytkowej i książki. Artysta, to znaczy projektodawca, w pewnych działach sztuki (np. malarstwie) zawsze był zarazem i wykonawcą, inaczej

mówiąc, rzemieślnikiem. W innych staje się nim dzisiaj ponownie. Ponieważ obie role ciągle zahaczają o siebie, zastanówmy się, w jakiej mierze rzemieślnik (wykonawca) ma być ze swej strony artystą? Zwłaszcza w dziale, o którym mowa, gdzie ciągle będzie się stykał ze sztuką. W pewnem znaczeniu tego słowa nie potrzebuje być nim nigdy, lecz jakże ważny jest poziom jego kultury artystycznej, jego orjentacja w walorach sztuki (grafiki), ułatwiająca mu nietylko wierne ale i inteligentne skopjowanie oryginału. Nie zapominajmy również o nieodzownej dla rzemieślnika dozie własnej inicjatywy i pomysłowości, gdyż nie może on w każdym najdrobniejszym wypadku odwoływać się ciągle do swego kierownika. Istnieje wreszcie szereg robót, np. w drukarstwie akcydensowem, których zaprojektowanie i wykonanie powierza się tej samej osobie.

Wychodząc z tych słusznych założeń, Szkoła Przemysłu Graficznego kształci uczniów nietylko fachowo, praktycznie, ale kładzie również nacisk na rozwój ich smaku artystycznego (przez dawanie im do kopjowania pierwszorzędnych wzorów) i rozwijanie ich pomysłowości, zapomocą nauczania kompozycji zawodowej. W wydanym przez szkołę roczniku znajdujemy znakomite tego przykłady, zwłaszcza w dziale kompozycyj z materjału drukarskiego, w klasie prof. J. Bohdanowicza.

Dyrektorem Szkoły jest p. St. Dąbrowski; kierownikami poszczególnych działów pp.: Bohdanowicz, Pisarkiewicz i Stonawski (znakomity specjalista w dziale fotochemigrafji).

WIKTOR PODOSKI

TEATR

ELŻBIETA, KRÓLOWA ANGLJI

Teatr Polski po „Romeu i Julji" wystąpił ze sztuką historyczną niemiecką Ferd. Brucknera „Elżbieta, królowa Anglji". Zalecił ją i przełożył prof. Marjan Szyjkowski, historyk literatury. Jest to widowisko zakrojone na największą skalę teatralną. Rzecz dzieje się na dworze królewskim lub w świątyniach, więc przepych dekoracyj i kostjumów. Królowa w każdym akcie w innych szatach, aktów zaś jest 12. Byle teatr takiej rzeczy nie wystawi godnie. Teatr Polski dokonał tego z godną uznania starannością, nie szczędząc nakładu i pomysłowości.

Niewątpliwie reżyser (Węgierko) musiał przyjrzeć się tej sztuce w Berlinie, gdzie podobno cieszyła się wielkiem powodzeniem. Dramaturg nowoczesny, taki p. Bruckner, zna się na scenie pewno lepiej, niż dawniejsi twórcy dramatu historycznego, Schiller czy Słowacki; umiał pójść na rękę teatrowi nieznanemi dawniej efektami. Do nich należy np. łączenie w pewnym obrazie dwu scen, które w życiu działy się daleko od siebie przestrzennie, ale w jednym czasie i łączyły się w jedno wewnętrznie.

Była wojna między Anglją i Hiszpanją, między Elżbietą i Filipem II. Mamy poznać psychologję wojny, wyrażającą się w postawie i decyzjach dwu partnerów: rada wojenna tu i tam, modlą się tu i tam — oto patrzcie i porównywajcie bez straty czasu, wstrząsani antytezami światów, robiących w gruncie rzeczy to samo.

Główna myśl, nawet cel tej sztuki — to pokazanie owej różności między światem germańskim a łacińskim, protestanckim a katolickim. Dziś, kiedy się ważą wartości i wpływy tych dwu światów, otwiera się dla propagandy pole nader ponętne. Bruckner gra na kontrastach i na analogji czasów dawnych z dzisiejszemi, szukającemi wyjścia z tych samych sprzeczności. — Cywilizacja germańska tak samo dziś walczy z romańską. Dodać otuchy pierwszej z nich w tej walce — oto zadanie, pociągające teatr niemiecki. Podobno reżyserja teatru Polskiego nieco złagodziła to, co w tendencji mogło zbyt razić Polaka, wszelako myśl ta zostać musiała, jako leżąca w konstrukcji sztuki.

Idea zasadnicza anglosaska—jest tu pacyfistyczna, wysuwa na czoło sprawy rozwoju gospodarczego, z dobrobytem i szczęśliwością jednostki jako celem. Katolicyzm Filipa hiszpańskiego służy celom imperjalistycznym pod obłudnem hasłem służenia Bogu. Elżbieta bierze na siebie krzyż wojny sprowokowana, w koniecznej obronie, Filip prowadzi wojnę w celach zaborczych, w nadziei, że jego zwycięstwo wywoła uśmiech uznania na ustach Papieża. Obłuda jego ujawnia się w modlitwie Filipa, który dowiedziawszy się przed ołtarzem o klęsce Armady, rzuca się ku Bogu z pięściami. Na scenie mamy w jednym obrazie dwa nabożeństwa: z lewej strony widzimy Elżbietę z godnością z Bogiem traktującą, z prawej Filipa — histeryzującego.

Sceny takie są dla reżyserji i aktorów wdzięcznem polem popisu. Teatr Polski ma w ręku takie tuzy, jak p. Przybyłko-Potocką w roli Elżbiety i p. Junoszę-Stępowskiego jako Filipa. Kreacje ich, bardzo wysokiej miary artystycznej, dźwigały utwór Brucknera na wyżyny sztuki, których tekst sam przez się, pozbawiony pierwiastków poezji, nie posiada.

Całość przedstawienia, jak zaznaczyłem wyżej, jest wybitnem zdarzeniem teatralnem, ale niemiłem dla Polaka i w Warszawie nie na swojem miejscu. Z. W.

ZMARLI

KAROL RZEPECKI

W Poznaniu zmarł śp. Karol Rzepecki, b. poseł na Sejm Rzeczypospolitej (do r. 1929). twórca i kierownik Straży obywatelskiej w Poznaniu po wyjściu Niemców, prezes Związku straży pożarnych w woj. Poznańskiem, członek Zarządu Sronnictwa Narodowego, prezes Związku Powstańców i Wojaków, właściciel księgarni nakładowej, publicysta, wielce dla kraju zasłużony działacz i pisarz. — Urodzony 1865 r., syn Ludwika Rzepeckiego, założyciela „Gońca Wielkopolskiego", był całe życie energicznym i odważnym bojownikiem o prawa narodu polskiego. Niezmożonej wytrwałości, pracowitości i ruchliwości pracownik zmarł nagle od udaru sercowego. Cześć jego pamięci!

ALEKSANDER KRAUSHAR

Zmarł w Warszawie w podeszłym wieku 89 lat śp. Aleksander Kraushar. Urodzony w Warszawie 1842 r. wychowaniec Szkoły Głównej, poza pracą adwokacką oddawał się z zamiłowaniem badaniom historycznym. Ważniejsze prace: Siedmiolecie Szkoły Głównej, Olbracht Łaski, Francja i Polska w XVIII w., Kraszewski jako historyk, Czary na dworze Batorego, Dzieje Krzysztofa Arciszewskiego, Frank i frankiści polscy (2 tomy), Kartki historyczne i literackie, Nowe epizody Paska, Sprawa Zygmunta Unruga, Burboni na wygnaniu, Książę Repnin i Polska, dzieje Tow. Przyjaciół nauk w Warszawie (materjały), wiele prac o dawnej Warszawie, do końca życia prowadzonych i in.

Za młodu pisywał poezje i przekładał Heinego. Zbiorek poezyj pt. „Strofy" wydał pod pseudonimem Alkara

Był członkiem wielu towarzystw naukowych, prezesem Tow. miłośników historji w Warszawie, członkiem Straży piśmiennictwa. Zbliżony rodzinnie do wydawców „Kurjera Warszawskiego" tam przeważnie zamieszczał swoje drobniejsze prace o Warszawie

Jako uczestnik powstania 1863 pochowany został z honorami wojskowemi.

OFENSYWA

NIECO O ZIEMIANACH

MOTTO:

„O, ciężka twoja dola, nieszczęśliwy rodzie szlachecki, ale i ciężki jest grzech twój. W narodzie licznym, jak gwiazdy na niebie, tyś jaśniał jako słońce promieniami cnoty twojej. Któż wypowie złotą wolność i moc ziemską, jaką miałeś, gdy drżeli przed tobą monarch wie świata. Sam Bóg w sławie ojców złożył cząstkę swej wielkości, aby na wieki pozostała znamieniem Jego narodu. Nad czystemi ich sercami królowa Najświętsza Panna, Bogarodzica. Ale ojczymostwem względem ludu niegodnymi stali się tej łaski".

J. Słowacki

SĄ ZIEMIANIE i ziemianie. Pomówimy o tych drugich. Ci drudzy to mówią, to piszą, co następuje:

Książe Eustachy Sapieha pisał w „Słowie" (nr. 264) 1929 roku:

„Polskę dziś zbawić może tylko prawo silniejszego... przez narzucenie nowej konstytucji".

Hrabia Wojciech Rostworowski w „Dniu Polskim" (nr. 28 r. 1931).

„—... Byliśmy świadkami orgji wymysłów i napaści.. Czytaliśmy codziennie tasiemce protestów, setki artykułów o sponiewieraniu godności narodowej i ludzkiej, o znęcaniu się nad bezbronnymi, o hańbie brzeskiej. Oświadczenie p. Sławka, które szeroko i wiernie podmalowało tło, z którego wyrosła represja brzeska i w słowach stanowczych wyjaśniło stanowisko rządu, musi przeciąć radykalnie wytworzoną na tym gruncie legendę".

P. Harski (pseudo) w „Słowie" 26 sierpnia:

„Z całą stanowczością stwierdzić można, że wewnętrzne zaufanie (do rządu) stale wzrasta, tak jakościowo, jak ilościowo. Obóz opozycyjny staje się coraz bardziej odosobniony, a wpływy jegó maleją; tak dalece, że dziś na jakikolwiek posłuch wśród szerszych warstw społeczeństwa liczyć nie może. Rzesze robotnicze zrywają z PPS., tłumnie garnąc się do zawodowych związków gospodarczych. Sfery gospodarcze przez swoje związki i zrzeszenia współdziałają z rządem. Wśród narodowości niepolskich stale postępuje pacyfikacja umysłów i zrozumienie dobrej woli czynników rządzących. Wzrost zaufania obserwuje się wszędzie, na każdym odcinku".

Dr. Jan Hupka w „Czasie" z grudnia 1931 r.:

„Brak w tej apologji bata konsekwentnego przeprowadzenia, a w zakończeniu jest nieprawda. A jednak co do roli bata w rządzeniu ludźmi, ma autor zupełną słuszność. Bat jest jednym z koniecznych instrumentów każdego rządu. Bez bata nie można rządzić żadnym narodem, a zwłaszcza tak rozwichrzonym i warcholskim, jakim jest naród polski".

Old Gentleman w „Dniu Polskim" w kilku artykułach w listopadzie:

„Dzisiaj obóz rządowy chętnie piętnuje mianem Targowicy stanowisko opozycji z jej martwym uporem w trzymaniu się nie ducha, ale litery prawa. Nazwa ta jest bolesna, a jednak, w zarzucaniu Targowicy opozycjonistom dzisiejszym jest daleko więcej uzasadnienia, niżby się to mogło wydawać na pierwszy rzut oka".

Wreszcie tenżesam „*Old Gentleman*" w tymże „Dniu Polskim":

„Tymczasem oprócz ś. p. Tadeusza Hołówki, który z cechującym go zapałem, z całem oddaniem zajął się studjowaniem problematu mniejszościowego u jego źródeł, aż w tej ciężko zdobywanej nauce życie swoje położył, nikt prawie u nas nie traktuje spraw mniejszościowych z tą powagą, na jaką zasługują" i t. p. i t. d.

Ponieważ ci ziemianie są także mniejszością w naszem społeczeństwie, ponieważ ich przedstawiciel w „Dniu" obóz narodowo-demokratyczny nazwał Targowicą, ponieważ tenżesam „*Old Gentleman*", powołuje się na ś. p. Tadeusza Hołówkę, przeto pozwolimy tu sobie przypomnieć, co o tych Ziemianach pisał właśnie Hołówko w specjalnej broszurze p. t. „Ziemianie" w r. 1920 wydanej. W broszurze tej ś. p. Hołówko wyraźnie zaznacza, których Ziemianów ma na myśli, gdyż wielokrotnie wymienia nazwiska: Radziwiłłów (7 krotnie) Lubomirskich, Potockich, Branickich... Steckich... Otóż w sprawie tej analogji z Targowicą (na stronie 32):

„Cała ta broszura miała na celu wykazać, że ziemiaństwo było już oddawna, a zwłaszcza teraz jest, klasą w Polsce szkodliwą, nawskroś przegniłą i zdemoralizowaną. Ziemiaństwo — to przeżytek, to upiory Polski z czasów Saskich i Targowickich, ziemiaństwo, to drzewa, których korzenie dawno już zgniły, które jak kłody leżą na drodze narodu polskiego, i gniją i swą zgnilizną zatruwają powietrze społeczne i polityczne w Polsce. Starałem się wykazać, że ziemianie, to jest ta część szlachty polskiej, która ostała się przy ziemi, była przyczyną zguby Polski, była tą egoistyczną i podłą siłą, która podcinała skrzydła Polski, gdy ta zrywała się do walki o swe wyzwolenie..."

na stronie 24-tej o zjeździe Związku Ziemian:

„To nie obywatele demokratycznego państwa się zjechali — to zjechała się zgraja handlarzy niewolnikami, którzy radzą tylko nad tem, jak nadal eksploatować ludność i Państwo".

na stronie 25-tej:

„Jest jedna nazwa na to w czasie wojny i kryzysu ekonomicznego — zdrada kraju. O, nieodrodni wnukowie Szczęsnych-Potockich, Branickich, Kossakowskich i Ożarowskich".

na stronie 26-tej:

„Widzimy więc, że ziemiaństwo polskie pod względem politycznym było ugodowem, szło na zgodę ze wszystkimi zaborcami, zaś przez swój kastowy egoizm nie pozwalało Polsce skutecznie walczyć o swe wyzwolenie".

Jak widzimy z tych kilku tylko, delikatnie jeszcze dobranych cytatów pogląd Hołówki na t. zw. Targowicę był taki, jaki wypowiedział w broszurze p. t. „Ziemianie". Z tego względu konserwatyści w takich dziennikach swoich, jak „Czas", „Słowo", „Dzień Polski", powinni być znacznie oględniejsi w używaniu takich słów jak: Targowica, Bat i t. p.

Mowa Wincentego Witosa oskarżonego w procesie brzeskim, kończyła się na tych słowach:

„Oskarżono mnie o zdradę stanu i 5 innych zbrodni przeciwko Austrji. Toczyło się śledztwo i byłem badany. Ale mnie ten rząd zaborczy, który znał moje stanowisko, nie wtrącił do lochu, ani nie zdeptał mojej godności i mego człowieczeństwa".

Dosyć.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Sanacja" wśród uciech radosnej twórczości, traktując wszystko ze strony użyteczności doraźnej, zatraciła poczucie wartości. Stąd nadwyraz śmieszne sceny, kiedy „Gazeta Polska" zaczyna rozprawiać o podniesionych w procesie brzeskim zarzutach. Łamanie prawa? — dziwi się. Czyż można łamać prawo, które przecież tyle jest warte, co jego interpretacja. Ośm miljonów? Jest też o czem gadać! Przypomina się heca z pewną paniusią. „Powiadają o pani — ktoś jej robi zarzut — że z panią połowa miasta romansuje". „O wa! Wielkie mi miasto — jakieś dwadzieścia tysięcy ludności!" Trzebaż bowiem istotnie ironji losu, żeby o pieniądzach i prawie dyskutować na serjo z ludźmi 1905 r.!

*

Nasi monarchiści sanacyjni długo szukali odpowiedniego kandydata na dynastę polskiego. Wreszcie znaleźli ponoć pretendenta do tronu, który w osobie swej syntetyzuje wszystkie najmilsze dla narodu polskiego tradycje i wspomnienia. Bo to jednocześnie i Hohenzollern, i prawosławny— a pozatem — własnym przykładem czynnie propagujący zasady tak głośnego dziś, nowego projektu prawa małżeńskiego...

BŁĘDY DRUKU: W artykule M. Kiniorskiego, nr. 57 str. 349 w odsyłaczu 2) zamiast 1 zł. 60 gr., powinno być 1 zł. 7$^1/_1$ gr., na str. 350, szp. 1, w. 24 zamiast 1 miljona zł., powinno być 1 miljard zł.



TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.